№ 52. Warszawa, dnia 16 (28) Czerwca 1872 roku. Tom I. — Rok I.



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

STANISŁAW MONIUSZKO.



uż dotychczas nie ma zakątka w całym kraju, a nawet w Europie, gdzieby nie dosięgła wieść o stracie, jaką społeczeństwo i sztuka poniosły przez zgon zbyt wczesny jednego z najznakomitszych klejnotów naszéj chwały narodowéj. Dnia 4-go czerwca o godzinie 6 wieczorem umarł w Warszawie Stanisław Moniuszko.

Wieść ta dla tych tylko obojętną byćby mogła, którzy nigdy przedtém o nazwisku jego nie słyszeli. Ale niepodobna przypuścić, żeby tacy znaleźć się mogli. Przez trzydzieści lat niezmordowanéj pracy kompozytorskiéj dosięgnął on tam nawet, gdzie o najsłynniejszych imionach nie słyszano. I to rzecz bardzo prosta, że każda pieśń jego rozleglęj i głębiéj niż każda inna sięgała. Śmiało powiedzieć możemy, że w dziejach muzyki całéj niewielu znamy kompozytorów z uczuciem tak silnie rozwiniętém jak u Moniuszki. Wiemy, iż wiele przeciwko temu zdaniu głosów się podniesie, a nawet za herezyę uważać je będą. Na poparcie swych zarzutów przytoczą nam mnóstwo imion kompozytorów, których utwory są na wskroś uczuciem przesiąkłe, ale to bynajmniéj zdania naszego nie obali. Wszyscy inni kompozytorowie, nawet za najbardziéj uczuciowych poczytywani, bywali takimi tylko w wyjątkowych, w szczęśliwych chwilach usposobienia. Moniuszko takim był zawsze. Była to organizacya tak wyjątkowa, że druga jéj podobna nie łatwo da się odszukać. Każde jego zetknięcie się ze sztuką, każde do strun dotknięcie wywoływało w sercu jego uczucie, bez którego udziału nawet nie pojmował tworzenia.

Czuć a tworzyć to były u niego pojęcia równoznaczne. Szły one zawsze w parze, zawsze wzajemnie się wywoływały i jedno bez drugiego istnieć nie mogło. Ale uczucie jego było natury wcale odmiennéj, niż u wszystkich innych kompozytorów. Nie była to ani owa czułostkowość sentymentalnością zwana, która tylu kompozytorom sławę uczuciowych zjednała,—ani gwałtowna i wyuzdana namiętność, raczéj zwierzęcia niż człowieka godna. Uczucie Moniuszki było zawsze w źródle wiary najczystszéj skąpane, ciepłym promieniem miłości ogrzane i ożywczą rosą nadziei błyszczące. I te trzy najwznioślejsze w człowieku uczucia nie były sztucznie lub chwilowo w nim wywoływane. Całe życie jego prywatne, domowe, było dziwnie zgodne i jednolite z charakterem wszystkich jego kompozycyi.

Wierzył on w Boga w nieśmiertelność duszy wiarą gorącą a prostą. Żadne choćby najsubtelniejsze doktryny zachwiać téj wiary nigdy nie zdołały, chociaż żaden z objawów ruchu umysłowego, żaden nowy systemat naukowy, żadna hypoteza obce mu nie były, bo wszechstronność wykształcenia pozwalała mu badać i śledzić wszystkie ruchy i obroty trafne lub błędne przez najgłębszych myślicieli wykonywane.

Trudnoby znaleźć pierś drugą, w któréjby jak u Moniuszki uczucie miłości tak czystém uczuciem gorzało. Kochał ludzi nie dla siebie, lecz dla nich samych. Wiele złego od nich doświadczył i wiele z ich przyczyny zniósł cierpień, często się uskarżał na nich i miał żal do wielu, lecz uczucie zemsty lub nienawiści nigdy téj szlachetnéj piersi nie skalało. Przeszłość kochał namiętnie, każdą jéj pamiątkę czcił z czułością synowską. Miłość ku kobiecie do tak wysokiego stopnia miał wyidealizowaną, że najzjadliwsza krytyka nie potrafiłaby wykazać chociażby jednego stosunku z kobietą, przekraczającego granice przyjaźni i szacunku. Ztąd to pochodzi owo uczucie młodzieńczéj czystéj miłości, tryskającéj tak jasnym promieniem z ostatnich nawet jego utworów. Z natury rzeczy wynika, że mając te dwa uczucia tak silnie w sobie rozwinięte, niemniéj i w nadzieję był bogaty. Ufał w życie przyszłe, ufał w postęp ludzkości, ufał w polepszenie jéj doli, w jéj stopniowe doskonalenie się,—słowem wierzył, że dzieło ręki bozkiéj nie ku zepsuciu, lecz ku doskonaleniu się dąży. Bolesne zaś przejścia, które ludzkość od czasu do czasu przebywa uważał za fazy przemijające, znosząc je z poddaniem się i uległością. Z téj wychodząc zasady, nie ograniczał działalności swojéj ciasném kółkiem powodzeń doraźnych. Utwory więc jego nie były podobne wyrobom tandetnika, usiłującego obejść się jak najmniejszą ilością materyału. Przeciwnie—jak ubranie przez przezorną matkę dzieciom sprawiane, tak i kompozycye jego były tworzone na zapas, na wyrost. Może społeczeństwo jeszcze do nich nie dorosło, ale kiedyś całą ich wartość pojmie i uczuje.

Mylą się też naszém zdaniem nekrologiści w dziennikach naszych, twierdząc, że wszystkie kompozycye Moniuszki od razu do serc ogółu trafiały i powodzenie zyskiwały. Przeciwnie—każdy utwór jego długo uznanie dla siebie wywalczać musiał. Poziom społeczności naszéj zbyt był oddalony od szczebla, na którym Moniuszko przebywał.

Rodzina Moniuszków do znakomitszych rodzin litewskich należy. Członkowie jéj znaczne dobra posiadali i niemałą grając rolę pomiędzy obywatelstwem, wysokie urzędy często pia-

stowali. Dziad Stanisława miał sześciu synów, z pomiędzy których Dominik zasłużył na chlubną pamięć przez swe dążności obywatelskie. W czasach kiedy wyzwolenie włościan nikomu ani na myśl nie przychodziło, on w swoich dobrach zniósłszy poddaństwo, oczynszował włościan, pozakładał z wielkim nakładem szkoły we wsiach i doprowadził swych włościan do takiego stopnia dobrobytu i oświaty, jakiéj dotychczas nie ma w całym kraju. Drugi stryj Stanisława Ignacy niemało też się zasłużył swą gotowością do ofiar i czynami prawdziwie obywatelskiemi. Trzeci stryj Aleksander był człowiekiem nauki niepospolitéj, wytrawnym lingwistą i z namiętnością oddawał się malarstwu. Wszyscy stryjowie już zmarli. Z kilku ciotek dwie tylko obecnie są przy życiu: Klotylda Jelska i Michalina Wańkowiczowa. Obie się odznaczają niepospolitém wykształceniem i przechowywaniem cnot tradycyjnych. Jakkolwiek wspomnienie o tych osobach nie łączy się bezpośrednio z głównym naszym przedmiotem, jednak wymieniliśmy je umyślnie, żeby wykazać, pod jakiemi wpływami umysł Stanisława się rozwijał, jaki żywiół go otaczał i jakie pierwiastki nań oddziaływały.

Ojciec Stanisława Czesław, orzeniony z Elżbietą Madżarską, dosłużył się w armii Napoleona I. stopnia kapitana. Był to człowiek nadzwyczaj towarzyski, zapalony miłośnik sztuk pięknych, a mianowicie malarstwa, któremu nawet sam namiętnie się oddawał. To niepomiarkowane zamiłowanie w malarstwie przyczyniło się do następnego zrujnowania jego materyalnych interesów, bo zamiast pilnowania ich, podróżował po całéj Europie, zwiedzając najznakomitsze galerye, i skupując na własność dzieła sztuki, których nie mało uzbierał. Pozwolił mu Bóg dożyć oglądania w całym rozwoju chwały syna, bo dopiero przed dwoma laty 12 paźdz. 1870 r. zmarł we wsi swéj Radkowszczyźnie. Matka Stanisława była wzorem matron naszych. Dobra, czuła, miała serce dla wszystkich wrażeń szlachetnych przystępne. Obok wyższego umysłowego wykształcenia, posiadała wielki talent do muzyki: śpiewała i grała na fortepianie. Stanisław urodzony w dniu 5 Maja 1819 r. w majątku dziedzicznym Ubiel w gubernii Mińskiéj, blizko małego miasteczka Śmiłowicz, był jedynem u rodziców dziecięciem, i matka wszystkie życia chwile poświęcała jego wychowaniu i kształceniu. Jéj to wpływowi przypisać należy kierunek umysłu Stanisława ku muzyce. Utracił ją Stanisław w roku 1850 w dniu 7 Października. Miłość i cześć ku niéj aż do śmierci swéj niewygasłą nosił, i każde o niéj wspomnienie bolesne jęki z lutni jego wydobywało. Jednym z tych jęków jest śpiew jego do słów J. Prusinowskiego: „O matko moja!" drugim zaś pieśń Stefana w trzecim akcie „Strasznego dworu" („Boże mój! melodya ta"). Ten śpiew ostatni jest jednym z najpiękniejszych utworów Stanisława, bo go zrodziły: urok tradycyi i miłość synowska.

Po skończeniu jedenastu lat życia Stanisław zawieziony został do Warszawy i umieszczony w ówczesnéj szkole wojewódzkiéj księży Piarów. Rektor zgromadzenia ksiądz Paweł Kotowski, po wyegzaminowaniu Stanisława, zaciągnął go do listy uczniów klassy czwartéj w dniu 9 Lipca 1830 r.

Podczas pobytu w Warszawie, będąc dobrze w początkowych zasadach muzyki usposobionym powierzony był dla dalszego w niéj kształcenia się, żyjącemu dotychczas professorowi Augustowi Freierowi, znakomitemu organiście przy kościele ewangelicko-augsburskim. Następnie kończył kurs nauk szkolnych w szkołach mińskich, gdzie przewodnikiem jego w muzyce był Dominik Stefanowicz.

Po ukończeniu szkół mając lat ośmnaście, przybył w Październiku 1837 roku do Berlina. Tam oddany został pod wyłączny kierunek znakomitego professora kompozycyi C. F. Rungenhagena i już od tego czasu głównie muzyce się poświęcił. Ukończywszy tam swe studya 18 Czerwca 1839 roku, powrócił do rodziców, a widząc, że fortuna chyli się ku upadkowi, postanowił własnemi siłami stanowisko na świecie zdobywać, Osiadł więc w Wilnie jako nauczyciel muzyki i wtedy wszedł już na tę drogę, na któréj wytrwał aż do grobu. W r. 1840 ożenił się z Aleksandrą Müllerówną. Wkrótce potém został organistą przy kościele Ś. Jana. Od téj chwili oddał się z zapałem kompozycyi.

Musielibyśmy zbyt przekroczyć granice w piśmie naszém zakreślone, gdybyśmy zamierzyli opisywać całą działalność muzyczną Stanisława Moniuszki w Wilnie, jego pasowanie się z brakiem środków, jak równie z gustami i nastrojem publiczności, nienawykłéj przedtém do poważnego traktowania muzyki. Jednak siła woli a głównie siła geniuszu wszystkie zawady zwyciężyć potrafiła. Środki z niczego się tworzyły, a gust publiczności coraz bardziéj się wykształcał. Moniuszko utworzył dość obszerne kółko, częścią z artystów, częścią zaś z amatorów złożone i za pomocą niego cudów w Wilnie dokazywał. Utworzył orkiestrę i chóry dość znacznie stosunkowo, i z niemi urządzał koncerta, na których zaznajamiał publiczność z utworami najznakomitszemi.

W dniu 30 Listopada 1840 r. pomiędzy innemi utworami wykonano w sali ratuszowéj kilka ustępów ze „Stworzenia świata" Haydna, wyjątek z oratoryum „Ś. Paweł" Mendelsohna Bartholdego i całą „Batalię" Beethowena. 20 Maja 1846 r. pod dyrekcyą jego wykonano w sali szlacheckiego zgromadzenia całe „Stworzenie świata" Haydna. Pisał muzykę do wielu dramatów, komponował msze, „Litanie Ostrobramskie," napisał kilka małych oper (Loterya, Ideał, Nowy Donkiszot, Nocleg w Apeninach, Woda cudowna), a nadto niezależnie od tych prac większych pisał bezustannie kompozycye fortepianowe i do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu, które początkowo własnym nakładem, a następnie u rozmaitych księgarzy wydawał. Potém stworzył swoje cudowne „Widma", wziąwszy tekst do nich z „Dziadów" Mickiewicza. Nakoniec w r. 1847, 20 Grudnia w sali Müllerów amatorowie wykonali jego „Halkę", lecz tylko we dwóch aktach napisaną. W rok potém 18 Grudnia wykonana była w téjże sali kantata mitologiczna „Milda." W następnym roku Moniuszko pojechał do Petersburga i dał tam poznać „Mildę," czém zjednał sobie uznanie i sławę powszechną u tamecznéj publiczności. Kiedy następnie „Halkę swą" rozprzestrzenił na cztery akta, wtedy zaczął się starać o wystawienie jéj na warszawskiéj scenie. Lecz wszelkie zabiegi w tym względzie długo były bezowocnemi. Zaledwo dopiero 1 Stycznia 1858 r. pierwsze jéj przedstawienie w Teatrze Wielkim nastąpiło. Wtedy się przekonano kim jest Moniuszko, i wezwano go na Dyrektora opery polskiéj. 1 Sierpnia 1858 roku przeniósł się tedy Moniuszko do Warszawy, w któréj aż do śmierci pozostał. Tu rozporządzając środkami potężniejszemi, działalność swą na wielką skalę rozwinął i starał się być tém czémeśmy go widzieli, to jest twórcą, któremu drugiego podobnego nie mamy i kto wie czy mieć będziemy. Zostawiając szczegółowym biografom wykazanie wszystkich drobiazgów życia jego, równie jak losów każdéj kompozycyi, chcemy tu jeszcze słów kilka powiedzieć o ważności tego kompozytora i wyznać jak się nań zapatrujemy.

Zdaniem naszém żaden z kompozytorów tak dawnych jak i współczesnych nie umiał tak malowniczo, dosadnie, z taką subtelnością prawie dotykalnie uczuć swych jak Moniuszko wyrażać. Pochodziło to ztąd zapewne, że nie zbywało mu na żadnym środku, jaki tylko muzyka dostarczyć może. Posiadał on nawet takie środki, jakich inni kompozytorowie nie podejrzewali nawet, że istnieją.

Do wypowiedzenia tak rozmaitych sytuacyj, jakie w kompozycyi się nastręczają, potrzeba posiadać wielką obfitość i bogactwo środków. Bogactwo tém większe być powinno, im różnostronniéj kompozytor muzykę uprawia. Jak wielostronnie ją uprawiał Moniuszko, o tém się łatwo przekonać można, przejrzawszy tylko kompozycye jego. Wszystkie te zasoby i środki Moniuszko posiadał w nadzwyczajnéj obfitości a nadto miał to czego innym braknie: prostotę niewyrównaną. W licznych swych i znakomitych kompozycyach Meyerbeer zaledwo ją w niektórych ustępach czwartego aktu „Hugonotów" wykazuje. Gounod niekiedy na nią się zdobywa, lecz i tam pewna forsowność się przebija. Ale tak nieprzebranego źródła prostoty i szczerości jakie miał Moniuszko, w żadnym ze współczesnych kompozytorów dopatrzyć nie możemy. Weźcie wszystkie tak nieskończenie różnorodne sytuacye w utworach jego rozsypane, i wskażcie chociażby jedną, z któréjby maska tylko zręcznego artysty przeglądała.

Niepodobna nawet przypuszczać, żeby we wszystkich tych sytuacyach sam mógł się znajdować. Ale siłą swéj wyobraźni tak umiał każdą z nich się przejąć, że w chwili tworzenia musiał uczuwać wszelkie cierpienia i rozkosze z tych sytuacyj wypływające. Malując więc je był zawsze szczery, i to jest właśnie w utworach jego nieocenioném.

Co do prostoty w wypowiadaniu najzawilszych i najtrudniejszych rzeczy za pomocą małych środków, sądzimy, że wpłynąć na to musiała rzecz, która pozornie za niepomyślną i szkodliwą uchodzićby mogła. Był to długi pobyt w Wilnie, gdzie Moniuszko mając do rozporządzania zbyt ograniczoną ilość instrumentów, przyzwyczaił się i nabył sztuki wypowiadania wszystkiego bez poruszania sprężyn potężnych.

Ta właśnie prostota i oszczędność podnosi Moniuszkę w oczach naszych po nad wszystkich kompozytorów. Bo każdy z nami się zgodzi, że wódz odnoszący zwycięztwo na czele hufca szczupłego, bez porównania większego dowiódł geniuszu, niż inny, który je odniósł przeciw téj saméj sile, dowodząc armią potężną.

Od najdawniejszych czasów spór się toczy o to: czy ważniejszy jest geniusz wrodzony, czy też nabyte mistrzowstwo i nauka. Nam się zdaje, że jakkolwiek iskra Niebu przez Prometeusza skradziona jest najpotężniejszym w akcie tworzenia czynnikiem, wszakże nauka, wprawa, doświadczenie i umiejętność władania środkami przy wrodzonym geniuszu nietylko nie są do odrzucenia, ale one to właśnie przyczyniają się do właściwego téj iskry użytkowania i nie dozwalają jéj się sponiewierać lub zagasnąć. A nawzajem największa nauka bez téj iskry czcze i jałowe wyda owoce. Słowem jedno drugiém niewsparte nic wielkiego nie utworzy. *(d. n.)*

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 51*).

W téj ostatniéj myśli był cały ocean pragnień.

Posiedział tak jeszcze z pół godziny nim przyszła Helena. Była czarno ubrana, przy którym to kolorze wytwornie odbijała jéj matowa barwa twarzy i blond włosy. Ujrzawszy Szwarca, uśmiechnęła się bojaźliwie, ale wielka radość była w tym uśmiechu, bo Szwarc w ostatnich czasach rzadkim u niéj bywał gościem.

Szczęściem dla siebie, miała tyle taktu, czy niewieściego przeczucia, że nie robiła mu wymówek, nie śmiała także głośno ucieszyć się jego przybyciem, nie wiedząc co jéj przynosi. Ale dłonią, którą mu podała, objęła silnie i szeroko, choć miękko jego rękę. Ta dłoń drgała serdeczną wymową ruchów, tłómaczącą obawy i uczucia wówczas, gdy usta milczą.

Ze smutnym uśmiechem i tak wyciągniętą ręką, czarowała niewypowiedzianym urokiem kobiety rozkochanéj. Gdyby miała gwiazdę we włosach, mogłaby ujść po prostu za anioła—może nawet miała koło głowy aureolę, jaką daje miłość, ale dla Szwarca nie była aniołem, ani miała aureoli.

Dotknął jednak ustami jéj ręki.

— Siądź Heleno koło mnie i słuchaj, mówił. Dawno nie byłem u ciebie, a chciałbym, żeby wróciła między nami dawna swoboda i dawne zaufanie.

Zrzuciła okrycie i kapelusz, ręką poprawiła włosy i siadła milcząc. Wielka niespokojność malowała się na jéj twarzy.

— Słucham cię, Józefie.

— Cztery lata już jak umarł Gustaw, który powierzył mi ciebie. Spełniałem dane mu przyrzeczenia jak mogłem i umiałem, ale stosunek nasz nie był taki, jak być powinien. To się musi zmienić Heleno...

Potrzebował odetchnąć, miał wydać wyrok na siebie.

W ciszy, jaka trwała przez chwilę, słychać było uderzenia serca Heleny. Twarz jéj bladła, oczy mrużyły się szybko jak zwykle u kobiet przerażonych.

— Musi się zmienić? szeptała zaledwie dosłyszalnie.

— Bądź moją żoną.

— Józefie!

Złożyła ręce jak do modlitwy i chwilę popatrzała na niego błędnemi od tłoczących się myśli i uczuć oczyma.

— Bądź żoną moją. Czas, o którym ci dawniéj mówiłem, nadszedł.

Zarzuciła mu ręce na szyję, głową wsparła się o jego piersi.

— Ty nie szydzisz zemnie Józefie! Nie, nie! Więc ja będę jeszcze szczęśliwą? O! ja ciebie tak kocham!

Pierś Heleny falowała, opromieniona twarz i usta mimowiednie zbliżała do ust Szwarca, jak kielich kwiatu.

— O! byłam bardzo smutna, samotna, mówiła daléj, ale wierzyłam w ciebie. Ufa serce, gdy kocha. Tyś mój! Ja tylko przez ciebie żyję—bo i cóż to jest życie? kiedy się człowiek śmieje i weseli, smuci i płacze, i myśli i kocha—to w tém jest życie. A ja weselę się i płaczę tylko przez ciebie, o tobie myślę, ciebie kocham. Gdyby nas chciano rozłączyć, roztargałabym włosy i owinęła koło nóg twoich. Byłam jak płomień, na który mogłeś dmuchnąć. Jam twoja — pozwól mi płakać! — Kochasz ty mnie?

— Kocham.

— Przepłakałam tyle lat, ale nie temi łzami, któremi dzisiaj płaczę. Tak mi w duszy jasno! Pozwól mi zamknąć oczy i zobaczyć tę światłość. Ileż to szczęścia w jednem słowie! Józefie mój, Józefie! ja nawet nie umiem o tém myśleć!

Ciężko było Szwarcowi słuchać podobnych słów Heleny; czuł cały bezmiar kłamstwa i rozbratu, w jakim miało mu odtąd popłynąć życie z tą kobietą tak piękną, tak wiele kochającą... a tak mało kochaną.

Wstał i pożegnał ją.

Helena zostawszy sama, przyłożyła płonące czoło do szyby okienka i długo pozostała tak milcząca. Wreszcie otworzyła okno, i wsparłszy głowę na dłoni, zapatrzyła się w szeroką wyiskrzoną noc letnią. Po jéj twarzy płynęły ciche łzy; złoty warkocz spadał poplątany na piersi, księżyc biegał po jéj czole i srebrzył bieliznę ubioru.

XIV.

W kilka dni później, Augustynowicz siedząc w mieszkaniu Szwarca, pracował wielce na intencyę zbliżających się egzaminów. Miłując we wszystkiém effekt, okna pozasłaniał roletami, a na środku izby ustawił stół, przed którym stał w téj chwili z pozawijanemi za łokcie rękawami. Widocznie robił jakieś doświadczenia; na stole było mnóstwo szklanych rupieci, stały słoiki pełne proszków i cieczy, a na środku paliła się spirytusowa lampka, ogarniając błękitnym płomieniem głupowatą głowę retorty, drżącą pod wpływem gorąca zawartego w niéj płynu.

Robota paliła się, jak to mówią, w rękach Augustynowicza; nikt nie umiał tak szybko pracować jak on.

Z wesołym uśmiechem na twarzy, pracował istotnie z zapałem, często przerywając sobie piosnką, dyalogiem z pierwszém lepszém naczyniem, lub pobożną uwagą nad znikomością świata tego.

Czasem ciskał na chwilę robotę, i wzniosłszy oczy i ręce do góry, deklamował wielce tragicznym tonem:

„Ach Eurydyko! przy twéj piękności
„Przeszedłem szczeble méj pomyślności,
„I wyrok Delfów był niewątpliwy
„Żem ja na ziemi — jeden szczęśliwy."

Czasem znów w setnych trelach i spadkach śpiewał:

„O piano! piano!—Zitto! pia-ha-ha-no!"

Lub podobne utwory własnego na prędce pomyslu:

„A gdybyś fajkę młodzieńcze nałożył,
„I palcem przybił, a potem zapalił?

— Na Mahometa! mówił do siebie, gdyby to Szwarc przyszedł, prędzéjby ta robota poszła, ale on teraz ślubuje Helenie... Ehe! i jabym tak ślubował!—jak mi niewinność miła! „Droga Heleno! dozwól... I cóż daléj?.. Ba! im daléj, tém lepiéj.

Nagle pociągnął ktoś za dzwonek.

Augustynowicz zwrócił się ku drzwiom i wyciągnąwszy rękę zaintonował,

„Przechodniu znużon drogą,
„Wejdź w me gościnne progi!"

Drzwi się otworzyły, młody wytwornie ubrany człowiek wszedł do pokoju.

Augustynowicz nie znał go.

Najważniejszym rysem charakterystycznym nowo przybyłego był aksamitny spencerek i jasne spodnie—był przytém umyty, ogolony i uczesany. Twarz miał nie to żeby głupowatą, ale i nie mądrą, nie piękną, ale i nie brzydką, nie dobrotliwą, ale i nie mądrą, był przytém wzrostu ani wysokiego, ani nizkiego, nosa, ust, brody i czoła miernego, znaków szczególnych żadnych.

— Czy tu mieszka pan Szwarc?

— Pewnie że tu.

— Można go teraz widzieć?

— Teraz można; w nocy jak bardzo ciemno, to co innego.

Nowoprzybyły zaczynał tracić cierpliwość, ale twarz Augustynowicza wyrażała raczéj wesołość niż złośliwość.

— Właściciel tego domu — rzekł — przysłał mnie do pana Szwarca jako do świadomego mieszkania i losu hrabianki Leokadyi N. Czy nie raczysz pan dać mi jakich co do niéj objaśnień?

— Oho! Bardzo przystojna!

— Nie o to chodzi...

— Właśnie, że o to, kochany panie! A gdybym też odpowiedział brzydka: jak noc! — czy byłbyś pan ciekawy ją poznać? Nie!... nie, na proroka!

— Jestem Pełski, kuzyn jéj...

— A ja wcale nie jestem jéj kuzyn!

Przybyły zmarszczył czoło.

— Pan mnie nie rozumiesz lub żartujesz!...

— Wcale nie, chociaż p. Wizbergowa zawsze to samo utrzymuje. Ale pan nie znasz pani Wizbergowéj?—przednia kobieta! Tém się odznacza, że ma córkę, choć to nic wielkiego mieć córkę; przytém bogata jak Jowisz!

— Panie!

— Otoż słyszę kroki na schodach — idzie Szwarc—nie?—założę się z panem, że to Szwarc,

— O co?!

Istotnie, drzwi się otworzyły, wszedł Szwarc.

Surowa i intelligentna twarz jego, rzekłbyś dojrzała w ostatnich czasach; we wzroku była spokojna energia człeka zdecydowanego w wyborze postępowania na przyszłość.

— Oto pan Pełski, a to do dyabła, Szwarc, doktor medycyny! prezentował Augustynowicz.

Szwarc spojrzał na przybyłego badawczo.

Tymczasem Pełski wyjaśnił mu cel swego przybycia, a choć na wiadomość o krewieństwie panicza z Lulą czoło Szwarca zmarszczyło się lekko, jednakże bez wahania wskazał jéj adres.

— Żegnam pana, rzekł w końcu: hrabianka



Stanisław Moniuszko.

będzie mocno uradowana znalazłszy w nim kuzyna, szkoda jednak że przed parą miesięcy nie mogła nikogo z krewnych odszukać.

Pełski bąknął coś niezrozumiale. Widocznie postać i sposób obejścia się Szwarca imponowały mu niemało.

— Dla czegoś mu wskazał adres Luli? pytał Augustynowicz Szwarca.

— Nie!

— A kiedy?

— Nigdy.

— Nie sztuka, stary, uciekać przed niebezpieczeństwem.

— Jam nie rycerz błędny, nie Don-Kichot, wolę unika niebezpieczeństw i zwyciężyć — niż wywoływać je i upaść. Nakazuje mi tak nie średniowieczna fanfaronada, ale rozum.



Ratusz w Poznaniu.

— Dla tego, że byłbym popełnił śmieszność, nie chcąc go dać.

— A ja nie dałem!

— Cożeś mu powiedział?

— Tysiąc rzeczy z wyjątkiem adresu—nie wiedziałem czy będziesz kontent z tego.

— Byłby go i tak znalazł.

— Ehe! będzie wesoło u pani Wizbergowéj. Będziesz tam dzisiaj?

— Nie!

— A jutro?

Nastała chwila milczenia. (*d. c. n.*)

KORESPONDENCYA.

Lwów w Czerwcu 1872 r.

Mieliśmy zeszłego miesiąca przerwanie chmury nad Lwowem. Deszcz lał przez parę godzin jak w czasie potopu. Powódź niepamiętana u nas zalała ulice w pobliżu nowozasklepionéj części Pełtwy—plac Maryacki ulicę Halicką i rynek. Woda nietylko zalała piwnice i mieszkania w suterénach, ale wdarła się nawet do sklepów, jak magazyn mód Lewickiego i inne przy ulicy Halickiéj, i wyrządziła ogromne szkody, Byłby to wypadek mniejszéj wagi, jakkolwiek dotkliwy dla tych, co ponieśli szkody lub z pomieszkań swych w niebezpieczeństwie życia w pośpiechu uciekać musieli; ale zachodzi pytanie, z jakiéj przyczyny powódź tak niesłychane przybrała rozmiary? Co sprawiło, że wody nie spłynęły jak zwykle, lecz się zatrzymały i stanęły jeziorem w pośród miasta? Nieraz przecię miewaliśmy tutaj deszcze, a nigdy takich nie było skutków. Owoż okazuje się przy bliższém zbadaniu rzeczy, iż przyczyną powodzi było zbyt nizkie zasklepienie Pełtwi, nie mogące pomieścić nagłego przypływu wody. W planie pokrycia téj rzeczki, którąby nawet ściekiem miejskim nazwać

można, nie obliczono należycie objętości, do jakiéj woda w pewnych rozmiarach dochodzić może. Dawniéj póki potok ów zasklepiony był tylko na przestrzeni placu Maryackiego, przestrzeń ta była zbyt mała, aby mogła tamować odpływ wód, ale gdy w roku zeszłym postanowiono zasklepić Pełtew wdłuż całych wałów hetmańskich i istotnie dalszą część zasklepiono, nieprzezorność złego obliczenia budowy dała się ciężko we znaki przy pierwszéj ulewie. A cóżby dopiero było podczas zwykłego wezbrania rzeki każdéj wiosny, lub w porze deszczów jesiennych! Tak tedy my, którzy posiadamy tyle urzędów i stowarzyszeń zajmujących się rzeczami budownictwa, którzy przecież mamy i urząd budowniczy miejski z kilkunastu technicznie wykształconych urzędników się składający, i stowarzyszenie techników i bank budowniczy, i tylu innych prywatnych budowniczych i inżynierów, nie byliśmy w możności obliczyć z góry należycie rozmiarów pudełeczka, w które postanowiliśmy zamknąć cichą i brudną naszą rzeczułkę. Widocznie budownictwo wodne nie jest specyalnością naszych urzędów budowniczych. Wprawdzie przypominają obecnie, że były głosy, co się sprzeciwiały zasklepianiu rzeki, że tam ktoś obliczał, że przestrzegał, że upominał, ale cóż z tego wszystkiego? Szkody się nie wrócą, a i koszt wyłożony z kassy miejskiéj na roboty niemniéj się nie powróci. Tymczasem skutkiem tego wypadku postanowiono zaniechać dalszego sklepienia Pełtwi, w obawie aby się podobne klęski nie ponawiały. Z wielu względów szkoda, iż się tak stało. Zasklepienie Pełtwi, rozszerzyłoby wały i stworzyło prześliczny bulwar w najpiękniejszéj części miasta, od nowego gmachu banku budowniczego aż do teatru hr. Skarbka, a pod względem zdrowia byłaby to rzecz nieoceniona dla miasta. Cóż począć? Będziemy musieli i nadal wciągać niezdrowe wyziewy grymaśnéj rzeczki, któréj jak się okazało, niebezpiecznie gniew ściągnąć na siebie.

W bieżącym miesiącu rozpoczyna się już budowa kolei Stryjskiéj, która połączy w najbliższéj linii Lwów z Węgrami. Pominąwszy korzyści kolei jako szlaku handlowego, dla nas Lwowian będzie ona jeszcze miała szczególniéjszą korzyść i powab przez to, iż zbliży nas do Karpat, i ułatwi wycieczki w tamtą stronę dla przyjemności i na żętyczną kuracyę. Za parę godzin będzie można stanąć w Korczynie, dokąd rok rocznie coraz więcéj udaje się ztąd osób na kuracyę, oglądać prześliczne górskie krajobrazy Synowódzka i Skolego, odetchnąć atmosferą gór i wrócić każdéj chwili do obowiązkowych zajęć lwowskich. Teraz właśnie kommisya techniczna ukończyła ostatecznie wytknięcie szlaku, a roboty mają być tak szybko prowadzone, iż dnia 1 Grudnia bieżącego roku cała przestrzeń kolei ma już być oddana na użytek publiczny. Przedsiębierstwo to wzięło na siebie i zobowiązało się ukończyć w tym czasie budowę włoskie *Stowarzyszenie budowy kolei żelaznych*, zawiązane celem zajmowania się przedsiębierstwem budowy kolei żelaznych po całym świecie, a kolej Stryjsko-Lwowska ma być podobno pierwszém Stowarzyszenia rzeczonego przedsiębierstwem i próbą jego działalności. Szkoda tylko, że próba właśnie na naszéj ma się odbywać skórze. Sama krótkość terminu oznaczonego do ukończenia budowy kolei i co zatém idzie pośpiech z jakim ma być wykończona, każe się obawiać, ażeby pośpiesznie wykonane roboty nie zostały źle wykonane, jak tego mamy już smutny przykład na kolei Lwowsko-Czerniowiecko-Jaskiéj, na któréj ciągle się coś psuje, nasypy usuwają, mosty, walą, wypadki powtarzają jedne za drugiemi tak, iż dla naprawy kolei potrzeba zamykać całe przestrzenie. Stowarzyszenie włoskie, wziąwszy przedsiębierstwo budowy kolei Stryjskiéj ryczałtowo za summę wynoszącą około 3,000,000 guldenów, złożyło blizko trzecią część téj summy jako kaucyę, zabezpieczającą, iż robota będzie dobrą i w terminie ukończoną. Kaucya jest wysoka i daje dobrą rękojmię; zależy więc teraz głównie na tém, aby nadzór był pilny i sumienny. Stowarzyszenie przysyła tutaj 10,000 robotników z Włoch, tym jednym tylko sposobem będzie mogło uiścić się w terminie i nie wyrządzić szkody, ujmując z miejscowéj ludności rąk do pracy w czasie żniwa. I owszem, przybytek tak znacznéj liczby obcego robotnika przyniesie korzyść okolicy, ożywi miejscowy ruch handlowy, mianowicie co do przedmiotów stanowiących pierwsze potrzeby życia, podniesie cenę niektórych ziemiopłodów i puści w obieg znaczną summę pieniędzy, które się bardzo tutaj przydadzą.

Rząd stanowczo odmówił wszelkiéj subwencyi kommissyom galicyjskim powszechnéj wystawy wiedeńskiéj. Dzielimy w tym względzie los innych prowincyj monarchii, gdyż rząd wszędzie odmówił zasiłku na ten cel. Pozostawieni więc jesteśmy sobie samym, ograniczeni jesteśmy na własne siły. Ofiary osób pojedyńczych, stowarzyszeń i wystawców interesowanych w sprawie wystawy nie pokryją ani w połowie potrzebnéj kwoty, którą komisya lwowska obliczyła dla siebie tylko na 25,000 guldenów. Kraków i Brody nie mniéj zapewno potrzebować będą. Cała tedy nadzieja w sejmie, który ma być zwołany w Sierpniu lub Wrześniu, iż potrzebie z funduszów krajowych zaradzi. Kommisya lwowska wezwała do pomocy Towarzystwo gospodarskie, Izbę handlową, Stowarzyszenie techniczne, ażeby tym sposobem jak najrozleglejszą rozwinąć czynność. O wyniku tych usiłowań w miarę postępu czynności kolejno wam donosić nieomieszkam.

Tymczasem, nim się pokażemy na wystawie powszechnéj, przygotowujemy się do małych popisów domowych. I tak w końcu bieżącego miesiąca urządza Towarzystwo ogrodnicze zwykłą wystawę doroczną warzyw i owoców we Lwowie,—Towarzystwo pedagogiczne powiatowe złoczowskie wystawę obrazów i zabytków historycznych w Złoczowie, podczas któréj uproszony ztąd p. Henryk Szmitt będzie miał odczyt historyczny objaśniający; w i w kilku innych miastach mają się odbyć pomniejsze wystawy powiatowe gospodarskie, których urządzenie i zwiedzanie ułatwiają teraz koleje żelazne przerzynające dwoma ramionami wdłuż całą naszą prowincyę.

Ponieśliśmy bolesną stratę. Kurator Zakładów Ossolińskich książe Jerzy Lubomirski umarł przed kilkoma dniami w Krakowie. Zakład stracił w nim gorliwego opiekuna, któremu wiele zawdzięcza. Był to umysł wzniosły szlachetnych uczuć i dążeń; objąwszy przed kilku laty kuratoryę zakładu dołożył wszelkich staran aby zakład urządzić na wzór zakładów zagranicznych tego rodzaju, stosunki jego naukowe rozszerzyć i podnieść powagę i znaczenie w świecie naukowym. Wiele zaś bardzo uczynił dla zakładu przez to iż połączył z niem i kazał przewieść do Lwowa zbiory muzealne Przeworskie. Obecnie więc muzeum zakładu Ossolińskich jest jednem z najbogatszych w zabytki starożytnicze zwłaszcza pod względem kosztownych i pamiątkowych zbroi. Zastępcą Kuratora mianował aż do pełnoletności syna swego, prezesa Towarzystwa Kredytowego Kazimierza hr. Krasińskiego, który zastawszy zakład uporządkowanym pod kierownictwem Bielowskiego i Małeckiego, będzie się trzymał wytkniętego toru i pozostawi go na téj drodze rozwoju, na jakiéj go postawił zmarły książe Jerzy Lubomirski.

Zjechał tu temi dniami konserwator rządowy starożytności wschodniéj Galicyi p. Mieczysław Potocki a celem teraźniejszego przyjazdu jest podobno zamiar restauracyi i przyzwoitego umieszczenia pomników archikatedralnych, które podczas restauracyi kościoła katedralnego za czasów arcybiskupa Sierakowskiego usunięte z kościoła i do sklepu pod kościołem zniesione tam dotychczas w nieładzie i zaniedbaniu pozostawały. Pod względem historycznym a może i artystycznym znajduje się tam nie-jeden pomnik godny ręki restauratora i wyniesienia na światło dzienne. W odnowionéj niedawnemi czasy kaplicy Zamojskich w tymże kościele znalazło już pomieszczenie parę z owych zapomnianych pomników. Obecnie zaś mają być wszystkie odnowione i w kościele, mianowicie w ubocznych kaplicach ustawione. Katedra Lwowska, jeden z najstarszych kościołów Lwowa, fundowany jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, przebywała rozmaite w ciągu roku koleje. Obecnie jéj monografię, bardzo szczegółowo napisał Maurycy Dzieduszycki autor *Wieku Skargi* i *Zbigniewa Oleśnickiego*. Praca ta opiera się na źródłach archiwalnych tutejszéj kapituły, które autor krytycznie zużytkować umiał. Rozpoczął się druk innego znów dzieła ważnego pod względem historycznym. Są to *dzieje miasta Lwowa* napisane przez ś. p. Romankiewicza, byłego dyrektora tutejszego archiwum miejskiego. Imię autora nieznane wprawdzie na polu piśmiennictwem, był to wszakże mąż oddany sumiennéj pracy, lubiący naukę a w szczególności badania dziejowe. Po śmierci Wagilewicza objąwszy ster miejskiego archiwum, prowadził daléj tegoż uporządkowanie w kierunku wskazanym przez swego poprzeka. Odczytywanie oryginalnych dokumentów, nadań i przywilejów miejskich dozwoliło mu rozpatrzeć się dokładnie w dziejach miasta i sprostować nie jedną niedokładną i mylną wiadomość, podaną przez Chodynieckiego a zwłaszcza Zubrzyckiego. Wiadomo bowiem że książka Chodynieckiego nie jest dosyć krytycznie opracowaną, a Żubrycki był stronniczy i nie jedno w dziele swém w opacznem przedstawił świetle. Dzieło Romankiewicza będzie miało tę zaletę przed tamtemi, iż oparte jest na autentycznych materyałach i opracowane sumiennie bez żadnéj stronniczości. Stanisław Kunasiewicz rozpoczyna druk obszerniejszéj pracy odnoszącéj się także do dziejów miasta Lwowa pod tytułem: *Przechadzki archeologiczne po Lwowie*. Dzieło to ma objąć około trzydziestu arkuszy druku a za materyał źródłowy służyło autorowi także archiwum miejskie tudzież klasztorne archiwa tutejsze.

Zapytacie może co się dzieje w naszym teatrze? Po gościnnych występach Rapackiego, rozpoczęła występy swe Modrzejewska *Księżną Jerzową* Dumasa. Rapacki zyskał wiele pochwał i oklasków, ale grał często przed pustemi ławkami, do czego się przyczynił wybór repertuaru złożonego po większéj części ze sztuk mniejszych, mały powab dla tutejszéj publiczności mających. Rapacki wyjechał niezadowolony i rozczarowany nierządem zakulisowym, jaki tu zastał. Modrzejewskiéj występy idą pomyślniéj, bo teatr bywa zapełniony, podobnie jak na operze, która prosperuje. Od niejakiego czasu bawi tutaj Jakowicka. Występowała tutaj jako gość w *Traviacie*, *Normie*, *Lunatyczce* i jeszcze ma parę razy wystąpić. Dobrzański redaktor *Gazety narodowéj*

nosi się z myślą postawienia teatru letniego w ogrodzie miejskim pojezuickim, do czego już przedwstępne poczyniono przygotowania.

Szkoła leśnicza czyni wycieczki naukowe pod przewodnictwem swego dyrektora p. Henryka Strzeleckiego w lasy, w których gospodarka leśna wzorowo prowadzona, staje się illustracyą wykładanych w szkole teoryi. Dwie już wycieczki takowe odbyto. Jedną do lasów hr. Alfreda Potockiego w Romanowie i Starem Siole, drugą do lasów Krasiczyńskich księcia Sapiehy. Koléj żelazna ułatwia przedsiębranie wycieczek z których w ogóle uczniowie wielką odnoszą korzyść. Stają się one tém pożyteczniejsze i przyjemniejsze, iż należą do nich także professorowie innych zakładów i miłośnicy nauk przyrodniczych bogactw kraju i rozmaitych pod tym względem właściwości zwiedzanych okolic. Wycieczki podobne będą z czasem uregulowane systematycznie i stale zaprawadzone w ten sposób aby dały poznać uczniom kolejno wszystkie lasy krajowe; ale będzie to się mogło stać wówczas dopiero, gdy szkoła otrzyma stałą subwencyę od sejmu na którą ze wszech miar zasługuje.

Na ostatek dodam jeszcze wiadomość o zamiarze, który jeżeli otrzyma potwierdzenie Rady miejskiéj i wejdzie w życie, mógłby nam mieszkańcom Lwowa znaczną przynieść ulgę naszych stosunkach materyalnych. Wiadomo jak wielki jest tu brak pomieszkań od niejakiego czasu i do jak wysokiego stopnia dochodzi ich drożyzna. Brak ten zwiększa się w zastraszającym stosunku, tak iż zachodzi obawa, że za największe nawet pieniądze niebawem nio będzie dostać dachu we Lwowie. Zatrważający ten objaw zwraca coraz więcéj na siebie uwagę i wywołuje rozmaite projekta środków zaradczych, które wszakże nie odpowiadają potrzebie. Nie pomoże tu ani wystawionych rok rocznie kilka nowych kamienic banku budowniczego ani kilkanaście domków robotniczych lub willi zamiejskich, bo na pomieszczenie wygodne zwiększającéj się ludności, przy zwiększonym ruchu handlowym, przemysłowym i kolejowym, patrzebaby całéj nowéj dzielnicy, a tę nie łatwo stworzyć, pomimo fabryki cegieł maszynowych i budulca kolejami sprowadzanego. Owóż dyrektor urzędu budowniczego miejskiego podaje plan, aby dla zapobieżenia na razie téj istnéj klęsce dnia dzisiejszego znieść pod prawnemi warunkami rygor przepisów budowniczych, niedozwalających budować domów inaczéj jak z cegły i kamienia, i dozwolić na przedmieściach zbudować pewną ilość domów z tak zwanego muru pruskiego, mianowicie z gliny nabijanéj zwirem kamiennym. Domostwa te zapobiegłyby na razie niedostatkowi, jako środek zaradczy tymczasowy, nimby miasto było w możności zabudowania się odpowiednio do potrzeb obecnéj liczby ludności. Wiele osób nieposiadających dostatecznego kapitału do murowania kamienic, rzuciłoby się do budowania takiego rodzaju tanich domostw i wnet byśmy się rozmieścili jakoś wygodniéj i wolniéj odetchneli rozszerzyłyby się przedmieścia, a niebezpieczeństwu ognia zapobiegłoby dobre pokrycie dachów i zachowanie innych przepisanych warunków. Przy wzorowo urządzonéj naszéj ogniowéj straży miejskiéj, obawy, téj mieć nie należy. Zresztą tak czy owak, to pewna iż rzecz wymaga obmyślenia jak najrychléj skutecznych zaradczych środków, bo inaczéj będziemy musieli albo się dusić jak śledzie lub pod gołem koczować niebem.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

POSTĘP WYOBRAŻEŃ RELIGIJNYCH W STAROŻYTNOŚCI.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 51.*)

Chaque lieu de la nature, chaque moment de la durée ayant son génie propre représente la Divinité sous une face particulière... A ce point de vue, l'histoire est un culte éternel auquel chaque civilisation ajoute un rite souvent baigné de sang.

Ed. Quinet (Génie des religions).

In unsern Geistern, leben die Geister aller Verstorbenen, aller Zeiten.

H. Steinthal (Mythos und Religion).

Poznając zaś naturę zewnętrznie, człowiek zgłębiał ją także i wewnątrz siebie, dowiadywał się czém jest on sam i co nadawało mu władzę nad silniejszemi od niego zapastnikami, lecz ta odrobina doświadczenia niweczyła zarazem wszystkie niemal jego dotychczasowe wnioski ugruntowane przeważnie na imaginacyi. Niepodległy żadnéj z widzialnych istot, człowiek czuł się przecież zależnym od czegoś z czém nie stykał się osobiście i wyraźnie. Zmienił pana ale nieprzestał być niewolnikiem i to w uciążliwszéj odtąd służbie, gdyż nie wiedział czyje ma skarbić łaski, komu i jak dogadzać. Uwikłanego w tém błędném kole, wyobraźnia miała znowu wywieść z trudności Jęła więc przerabiać figury dawnych bożyszcz lub tworzyła dowolnie odmienne, chociaż działanie jéj zacieśniło się już tutaj o jedną przekroczoną linię postępu, o jedną rozstrzygniętą niepewność, o jeden fałsz odkryty. Różnica ta zdawała się zrazu niewielką, a wszakże wyraża ona przechód od samowolnych marzeń, do prawidłowéj rozwagi. Dla imaginacyi otwartemi były jak dawniéj szerokie obszary nietknięte jeszcze myślą i obserwacyą; miała prawo gonić *naprzód* po nieutartych a fantastycznych szlakach—zagrodzonym jéj tylko został *powrót* do sfer zbadanych gdzie gospodarzyła już wiedza oczyszczając z gruzów zwalonéj mrzonki swoje siedlisko. Tak runął pierwszy myt bez nadziei podźwignięcia się kiedykolwiek, *ponieważ nielogiczność jego mogła być nareszcie sprawdzoną.*

Lecz zastanówmy się nieco nad charakterem *mytu*. Nowy religijny dogmat który odtąd miał zastąpić odrzuconą formę bałwochwalstwa musiał także wznieść się na jeden z punktów ludzkiéj nieświadomości, czyli zająć grunt niedostępny dla doświadczenia pod temiż samemi warunkami co i myt poprzedni, to jest, na czas trwania danéj niewiadomości. Od doświadczenia zależał jego czasowy kredyt, oraz jego przyszła ruina. Z dzisiejszego dobroczyńcy stawało się ono dlań jutro wywłaszczycielem i zabójcą, dusiło w objęciach swoich świeżo zrodzoną teoryę, któréj niedawno dało początek i opiekę. Bo o ile wyobraźnia zawsze ucieleśniała myt, o tyle doświadczenie przyjęło na siebie rolę jego wychowawcy, było jego ojcem duchowym pożerającym jak Saturn swoje potomstwo. Rozumie się mówimy tu o świadoméj praktyce i o chwili w któréj sąd może już wywierać wpływ na wyobraźnię. W stanie niemowlęctwa i dzikości, w stanie nieświadomego stosunku istoty ludzkiéj do świata, sąd ten powtarzamy raz jeszcze, nie przechodzi do objawu, spostrzeganie jest bezmyślném, a imaginacya karmi się tylko wrażeniami zmysłowemi. Późniéj dopiero rozwija się czynność sądu i wtedy dopiero człowiek *w tém co marzy* rachować się musi *z tém co doświadczył.* Nim wzbogacony wiedzą (rozumnym produktem doświadczenia) człowiek zacznie rozważać samodzielnie, nim wyrobi w sobie poglądy przedstawiające mu rzeczy *tak a nieinaczéj*, póty dlań wszystko wydaje się możliwém, bezprawidłowém, nie ujętém w żadne konieczne kształty, póty plączą się przed nim obrazy rzeczywistości odtwarzając takiż zamęt w jego wrażeniach. Wtedy gotów on *uwierzyć* w każde kłamstwo i sam pozbawiony wszelkich racyonalnych *przekonań* będzie kłamał mimowoli, gdyż bez doświadczenia, bez logiki i demonstracyi nie ma dlań żadnéj prawdy, lub wszystko jest prawdą, nie ma dlań żadnego poznania lub wszystko jest poznaniem.

Zobaczmyż teraz jakie zaszło przeobrażenie pojęć religijnych, gdy od najciemniejszego bałwochwalstwa przeniesiemy się myślą do następującéj po nim epoki mytów, przyczém pamiętajmy że zmiana ta nie uskuteczniła się nagle, ale owszem bardzo powoli i że tu spotykały się z sobą nieraz wyobrażenia religijne z dwóch epok: pozostałości dawnych wierzeń i zreformowane mityczne pojęcia. Główna jednak właściwość postępu mitologii zasadzała się obecnie na tém że o ile z pierwszego zwycięztwa światła nad mrokiem wyniknął upadek fetyszyzmu, o tyle z niedostatku prawd wiadomych wyrodziła się konieczność zapełnienia téj próżni innym, acz stosowniejszym mytem. Bo żeby w rozwojowym pochodzie śmiało zdążać daléj, ludzkość potrzebowała czuć pod stopami swemi jakiś stały fundament którego rozum jeszcze jéj nie dawał; potrzebowała oprzeć naiwny sąd swój i działanie na jakiéjś pewności, a zauważmy to dobrze, pewnością dla człowieka jest to jedynie o czém on wie wszechstronnie i co pojął dokładnie. Rozstając się zaś z fetyszyzmem, człowiek przeświadczył się tylko o swéj omyłce nie przeniknąwszy wcale co się mieściło poza jéj granicami. W podobnych razach spółczesna nauka nie chąc zatrzymywać się na punkcie zkąd już zaczyna się niewiadomość, spaja łańcuch wniosków wypróbowanych z przypuszczeniami poddanemi dopiero próbie za pomocą metody i eksperymentacyi. Dla starożytnych kresem wiedzy i domyślaniem się rzeczywistości były myty, czyli hypotezy dowolne i obowiązujące raz na zawsze jako pewniki. Okrążeni światem *skutków* nieświadomi ci komentatorowie sił i faktów natury szukali ich źródła omackiem, powodowani tym prostym instyktem, który każe nam np. za niespodzianém dotknięciem się obcéj ręki oglądać się za siebie dla dowiedzenia się kto nas dotknął. Otóż przypuśćmy żeśmy nie ujrzeli nikogo, lub że zdaniem naszém nikt z obecnych tego nie uczynił. Jakże sobie to zdarzenie wytłómaczymy? Jeśli umysł nasz znacznie mniéj jest rozwiniętym niż wyobraźnia, będziemy odgadywać w tém sprawę zaklętego ducha lub upiora, w przeciwnym zaś wypadku odrzucimy bez wahania takie tłómaczenie doznanego przez nas wrażenia, choćbyśmy wcale niepotrafili go objaśnić innemi pobudkami. Nie odszukawszy *na pewno* istotnego powodu, będziemy przynajmniéj wiedzieli *z pewnością* jaki powód był niemożebnym a w dociekaniu zawiłych tajemnic, ten mianowicie wzgląd wiedzy stanowi kardynalną różnicę między oddalonemi od siebie okresami cywilizacyi. Człowiek oświecony i barbarzyńca zarówno są niezdolni wytłómaczyć wielu zagadnień, ale pierwszy w tym jest bliższym prawdy od drugiego że zna większą ilość *powodów niemożebnych*.

W dalszym postępie pogaństwa fetyszyzm stał się więc niemożebnością. Wyćwiczonemu pogromcy czworonożnych i pierzastych sąsiadów

swoich, trudno już było odszukać potężniejszych od siebie władców na ziemi. A jeśli gdzieś i zamieszkiwali tacy, jak przypuszczano, to chyba za trójlasami i za siném morzem, na wierzchołku najwyższéj góry lub w głębi najskrytszéj kniei, z kąd rządząc światem widomie nie zniżali się przecież sami, aż do obcowania za pan brat z pierwszą lepszą ziemską istotą. Szczęśliwym był śmiertelnik któremu osobiście raczyli się ukazać lecz zdarzało się to pewnym tylko wybrańcom nie często i w skutek wyjątkowéj uprzejmości na którą trzeba było zasługiwać dobrowolnym postém, modlitwą i ofiarą, lub, gdy zachody podejmowane w tym celu kończyły się na niczem, znieść z pokorą niełaskę bogów, i odtąd za wdaniem się godniejszych pośredników zaspakajać swoją ciekawość. Minęły czasy codziennych a szczególniéj nocnych objawień. Co naddziadom przytrafiało się zwyczajnie, to prawnukowie poczytywali za niesłychaną rzadkość; gdzie starsi widzieli z przerażeniem orszaki bożyszcz tam młodzi a odważniejsi, bo ufni bardziej w swe siły, uległszy niekiedy chwilowéj ułudzie zmysłów rozpoznawali wkrótce cienie drzew, zawieszoną płachtę lub przemykającego zwierza. Jużciż pomimo licznych rozczarowań się wierzono głęboko w pielgrzymkę bogów; ten i ów świadczył uroczyście, że oglądał ich na własne oczy, że nawet doznał zaszczytu rozmawiania z nimi, co nie dziwiło nikogo zważywszy możebność takiego spotkania się skoro się żyło na wspólném territoryum. Zresztą jeśli nie spotkało to syna to wiedziano że spotkało ojca, jeśli nie ojca to dziada, jeśli mogło mieć miejsce kiedyś to możliwém było i w każdéj chwili, a gdyby nawet popularność bogów wyszła już z mody, tém niemniéj przechowywała się ona w pamięci starców, w obrzędach i opowiadaniach któremi od najmłodszych lat bałamucono każde nowe pokolenie.

Lecz bóstwa odbierające teraz pokłon rzeszy przeistoczyły się zupełnie. Bożek wół pracował w pługu, z bożka lwa złupiono skórę, bożek kot trzymany był w mieszkaniu dla tępienia bożków myszy. Zapomniano już nawet o ich dawnym charakterze lub napotkawszy tu i owdzie zabytki powszechnego niegdyś kultu, gardzono ślepotą zacofanéj tłuszczy. Ci którzy czcili Zeusa lub Jupitera, Posejdona lub Neptuna, Palladę lub Minerwę, Afrodytę lub Wenerę, byli wiernymi wśród niewiernych, pobożnymi wśród bałwochwalców, postępowcami wśród konserwatystów. W ich duchu ześrodkowała się potęga ducha epoki, w ich myśli jak kwiat wspaniały w drobnym zawarty pączku sposobiła się mądrość przywódzców ludzkości, rdzeń przyszłéj nauki...

Niemogąc obejść się bez bóztwa stworzył je teraz człowiek na obraz i podobieństwo swoje, czyli na obraz i podobieństwo tego co uważał w naturze za najmędrsze i za najdoskonalsze. Taką bowiem istotą uznał się z kolei w stworzeniu lecz ubóstwić siebie nie przychodziło mu do głowy w stanie normalnym umysłowego i fizycznego zdrowia, lub gdy nie czynił tego dla pochlebstwa. Bóstwem nazywał on przyczynę i rząd wszechrzeczy, które w niewiadomości swéj mógł przypisywać najlichszym nawet zwierzętom, płazom przedmiotom nieożywionym i t. p., lecz nigdy samemu sobie, gdyż o sobie wiedział najlepiéj że jest prostym wynikiem a nie początkiem bytu, że moc jaką posiadał była mu wydzierżawioną przez moc inną, że rodził się cierpiał i umierał mimo swéj woli, że wszystko czego używał wziętem było zkąd inąd, sformowaném już poprzednio i do przyszłych przekształceń gotowém. Gdy więc przeświadczono się że ani jedno z bóstw fetyszyzmu nie wyrównywało w dzielności swoim hołdowników, wspaniałomyślny poganin podzielił się własnemi przymiotami z bóstwém które dla wytłumaczenia zagadki bytu wprowadził znowu na osierocone po spadłych bałwanach ołtarze nadając mu w swéj wyobraźni uzdolnienia jakiemi sam się odznaczał, sposoby działania do jakich sam uciekał się w potrzebie, zgoła, swoje wady i zalety, sensacye i żądze podniesione tylko do daleko wyższego stopnia. Bo rozsądek i doświadczenie przyjmując już teraz udział w wyobrażeniach ludzkich wskazywały jasno, że mistrz którego wszechświat był dziełem musiał być od swego utworu doskonalszym, a doskonałość człowiek mierzył, jak i wszystko zresztą o czém miał pojęcie, własną skalą. Względnie umoralniony człowiek, moralniejszemi też czynił swoje religijne ideały. Bóstwo jego przestało już być ułomném stworzeniem lub marą-potworem z różnych kształtów zwierzęcych złożonym; niezadawalało się uspokojeniem apetytów cielesnych, bo i człowiek teraz na tém już niepoprzestawał. O ile sam wyrabiał w sobie smak i utwierdzał na rozumowych zasadach wnioski, o tyle myty jego przybierały charakter szlachetniejszy, bardziéj duchowy i estetyczny. Były one piękne i rozstropne, gospodarne i pracowite, gdyż ten który im składał hołdy cenił już piękność i rozum, rządność i pracę. Życie bóstwa odzwierciadlało w ideale rzeczywistość ówczesnego życia ludzi. Takimiby chcieli być oni, taką piastować władzę i takich doznawać rozkoszy— niczego więc innego, jak sądzili nie mogły ani mieć, ani pragnąć istoty wszechwładne i nieśmiertelne.

A że były nieśmiertelnemi—o tém człowiek nie wątpił wiedząc i widząc że pomimo śmierci jestestw organicznych tudzież pomimo psucia się i znikania przedmiotów nieorganicznych świat istniał wciąż w jednakowych prawie warunkach! Z czasem, kiedy w żaden sposób nie można było pomieścić bogów na ziemi, człowiek niezachwiany w swéj wierze przenosił ich jednego za drugim nad ziemię i pod ziemię, do nieba i do piekła, zbudował tam dla nich trony, zaopatrzył w zastępy sług, w mieszkania, rydwany i pracownie. Najpodrządniejsi zostali w grotach i w puszczach (gdzie tułają się dotąd w gminnych legendach), ale znakomitsi przeszli co najmniéj do kryształowych pałaców oceanu. Światy będące w ich wyłącznéj używalności obfitowały w rzeki i w pola, ucztowano tam w najlepsze i wcale po ludzku żeniono się i wychowywano dziatwę... niekiedy zazdrość dręczyła bogów i boginie, a już mezaliansów i pokątnych miłostek z ziemianami było bez liku. Wielu starożytnych bohaterów pochodziło z takiego związku, a gdy z liczby ich niektórzy znać zaniedbani od swoich rodziców, żyli i umierali bez chwały, inni znowu osiągnęli mnóstwo zaszczytów jako półbożki, a nawet i całkowici bogowie. *(d. n.)*

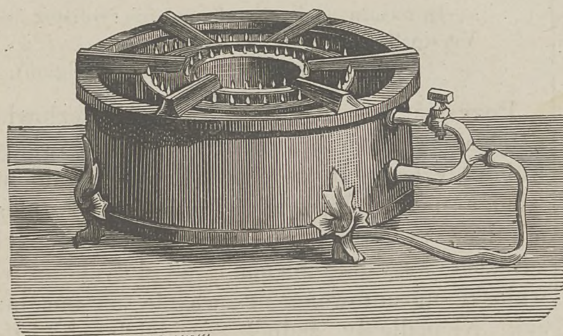


fig. 1. Piecyk do gotowania potraw.

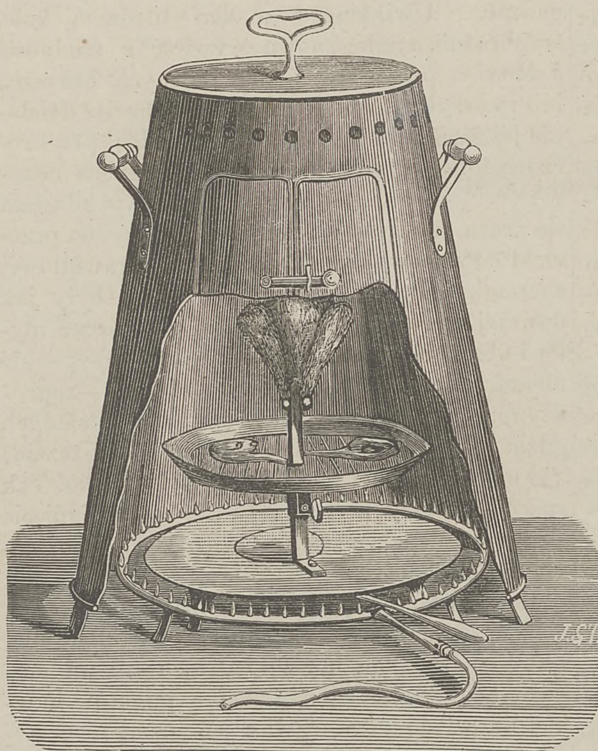


fig. 2. Przyrząd gazowy do pieczenia mięsa.

PRZYRZĄDY DO OGRZEWANIA GAZEM.

Wielka liczba konstruktorów od pewnego czasu usiłuje użyć do ogrzewania warsztatów i mieszkań, gazu z węgli kamiennych, który od dawna zastosowany już jest do oświetlania miast. Urządzono już kaloryfery i kominki różnych systemów; przedstawiają one korzyść niezaprzeczoną, dla otrzymania bowiem ognia dostatecznie jest zbliżyć zapałkę bez wszelkiego poprzednio przygotowania. W tych kominkach wyloty (beki) gazowe rozłożone są w taki sposób, że naśladują wejrzenie naszych ognisk, albo też płomienie umieszczone są przed reflektorem (zwierciadłem wklęsłém) rzucającém odbite promienie do przestrzeni, która ma być ogrzaną. Przyrządy te nie rozpowszechniły się dotąd: ogrzewanie gazowe usuwa wesoły ogień kominkowy, — nie możemy tam zbrojni w obcęgi zbierać głowni i w stos je ustawiać, ogień tam nie wyskakuje w płomykach jasnych, przed oczyma mamy płomień regularny, niezmienny, którego widok nuży jednostajnością.

Zarzuty te jednak nie mają znaczenia, gdy idzie o ogniska gazowe w kuchniach naszych, gdzie mogą być najlepszym środkiem gotowania pokarmów.

Mamy tu przed sobą (fig. 1) piecyk bardz

Dokończenie w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA” Nr. 52-go.

korzystny do gotowania potraw, jarzyn, do ogrzewania rondli, do szybkiego zagotowania wody. Stosowny walec służy za podstawę naczyniu, które chcemy poddać działaniu ciepła. W górnéj części tego walca widzimy dwie rury pierścieniowe i współśrodkowe, zkąd gaz wypływa po otwarciu kruczka, przedstawionego z lewéj strony tego przyrządu. Po zapaleniu ukaże się prawidłowy wieniec złożony z małych płomyków o wysokiéj temperaturze. Można do woli zapalać gaz jednéj tylko rury kołowéj, albo oba naraz, t. j. wywołać stosownie do potrzeby niższą lub wyższą temperaturę.

Figura 2 przedstawia przyrząd gazowy przeznaczony do pieczenia mięsa. Widzimy tu talerzyk z dnem dziurkowatém, osadzony na osi środkowéj, który za pomocą szruby może być podnoszony lub obniżany. Mięso przeznaczone do pieczenia utwierdza się w górnéj części osi, zakończonéj ostro nakształt rożna, lub kładzie się na talerzu, a płomień kołowy powstaje z wytrysków gazu, na obwodzie rury znajdującéj się u dołu, a utrzymywanéj trzema nóżkami. Sok ściekający przepływa dno dziurkowate talerza i zbiera się na tafli dolnéj. Przyrząd cały okryty jest stożkiem blaszanym, który wstrzymuje promieniowanie ciepła na zewnątrz; za pomocą zaś drzwiczek w téj powłoce wyrobionych można mięso pieczone polewać i doglądać.

Przyrząd ten wydający dobre rezultaty, użyty być może korzystnie w gospodarstwach, gdzie gaz służy do oświetlania. Kuchnia gazowa jest znakomitéj czystości; przy tych piecykach nie potrzeba już rozpalać węgla, nie ma kurzu, popiołu. Jednakowoż gaz oświelający jest ceny dosyć jeszcze znacznéj. Użycie przyrządu drugiego może być korzystne tylko w znacznych gospodarstwach; co do małego piecyka, (figura 1) zawsze się on wygodnie do użycia nadaje, można z niego korzystać bardzo dobrze, nie wyrzekając się przytém węgla i innych środków zwykłego ogrzewania.

RATUSZ W POZNANIU.

W rynku miasta Poznania wznosi się starożytny ratusz w stylu gotyckim, którego dzieje sięgają początków XIII stulecia. Kiedy bowiem Przemysław z lewego brzegu Warty przenosił miasto na prawą jéj stronę, nie mogąc w jurysdykcyi biskupiéj ugruntować właściwie swéj królewskiéj powagi i władzy, w nowo założonéj osadzie lokował mieszkańców na prawie magdeburskiém, licznemi obok tego obdarzając ich przywilejami. W tych przeto nadaniach nazywany jest *Kammerhaus*, zbudowany pierwotnie z drzewa, a w XV stuleciu już murowany. Gdy jednakże ze wzrostem miasta i rozwojem dobrobytu mieszkańców okazał się za szczupłym i niedogodnym, rozebrano poprzedni i wzniesiono obszerny odpowiedni ówczesnym potrzebom gmach, ukończony w r. 1514.

Krótkie jednakże było jego istnienie, gdyż w ogólnym pożarze miasta, który grasował w dniu 2 maja 1536 roku, spłonął i ratusz. Odbudowano go znowu i znacznie rozprzestrzeniono. W dniu 9 sierpnia 1675 r. uderzył piorun w wieżę ratuszową, którą w roku 1698 nader mizernie i znacznym kosztem odbudowano. To dzieło budownictwa, wykonane przez architekta miejskiego Jana Baptystę Włocha, podziw zagranicznych budowniczych zjeżdżających do Poznania dla zdjęcia z niego planów, w dniu 18 czerwca 1725 r. burza zwaliła. W miejsce owéj wieży wystawiono nową w 1730 roku, ale już nie tak okazałą jak była poprzednia.

W czasie wojny szwedzkiéj za Augusta II ratusz został mocno uszkodzony, a w r. 1716 zrabował go Gniazdowski regimentarz konfederacyi tarnogrodzkiéj. Następnie spustoszony w czasie postoju wojsk ruskich, saskich i pruskich, dopiero za Stanisława Augusta, kosztem skarbu koronnego (35,000 złtp.) odnowiony i co do postaci pierwotnéj nieco odmieniony został.

Komissya dobrego porządku, w skutek odbytéj lustracyi, zaleciła dopełnić koniecznych reparacyj.

Ratusz był miejscem posiedzeń władz miejskich; w nim odbywały się wiece (posiedzenia), roki (sądy), a że Poznań posiadał prawo miecza (przez skazywanie na karę śmierci), zatém obok ratusza wzniesiono pręgierz r. 1535, co przekonywa, że dopiero od XVI wieku miasto zyskało *jus gladii.*

W ratuszu tutejszym mieściło się poprzednio archiwum akt miejskich i ziemskich, które ostatniemi czasy wraz z grodzkiemi pomieszczono w dawnym zamku (obecnie gmach sądu apelacyjnego).

Archiwum miejskie starannie utrzymane i dobrze zachowane, zawiera: Przywileje od r. 1253, akta radzieckie od 1398, judici banniti od 1430, wojłowskie od 1501, kryminalne od 1502, szafarskie od 1582. Oprócz tych wiele dokumentów tyczących się: kościołów, szpitali, bractw i t. p. Najdawniejszy zabytek języka polskiego w rzeczonych aktach pochodzi z r. 1492.

KRONIKA.

Alfons Karr powiedział niepomnę już kiedy i gdzie, że życie ludzkie dzieli się na dwie połowy: pierwszą przepędzamy na dążeniu do drugiéj,—drugą na oglądaniu się za pierwszą. Jest wiele prawdy w tym aforyzmie — sprawdza się on co rok na zmniejszoną skalę w stosunku naszym do natury. Kiedy wszystkie cudowne siły drzemiące w przyrodzie budzą się w zetknięciu z pierwszym promieniem wiosennego słońca, kiedy po całym organizmie żyjącym przebiegnie pierwszy rozkoszny dreszcz młodości,—zaczyna się dziwnie spieszne dążenie prawie nieświadome siebie, do celu którego odległość tak nie jasno się rysuje, jak nieznane środki za pomocą których dąży się do niego. Rozwój młodzieńczéj fazy w naturze znaczy się kwiatami, temi marzeniami przyrody — drogę pierwszéj połowy życia ludzkiego zaścielają marzenia, owe kwiaty młodości człowieka, aż przyjdzie chwila w któréj i natura i człowiek zdają się po za siebie oglądać z tęsknotą. Obecnie natura rozpoczyna tę krytyczną chwilę. Fizyognomia jéj przybiera poważniejsze, stateczniejsze cechy; nadmiar życia wystrzelający rozbujałą, nieokiełznaną roślinnością, lub nieopatrznem marnotrawstwem kwiecia, zniknął wśród zaokrąglonych konturów dojrzałości—liść przybiera ową barwę w któréj brak pierwotnéj czystości, pozwala nieledwie oku dopatrzeć całéj gammy tonów prowadzących aż do ostatniego odcienia... czerwono żółtawego—któryby można nazwać siwizną Flory. Człowiek patrząc na tę nieubłaganą koléj życia, mimowoli czyni zwrot do siebie,—a im więcéj razy to się powtórzyło, tém z większym smutkiem stawia sobie to pytanie: po co ja się spieszyłem? I prowadząc daléj porównanie, gotów nieraz z zazdrością wyrzec:

— To ślepe życie w naturze, obumierając pozostawia po sobie przynajmniéj owoce... a moja licha egzystencya...

Tu przerywam melancholijną apostrofę Hamleta Warszawskiego, dla objaśnienia cię czytelniku że podobny monolog podsłuchałem; wygłaszał go pewien mój znajomy. W odpowiedzi już zabierałem się do dowodzenia: jako człowiek nie żyje bezowocnie, byleby tylko życie jego nie było właśnie summą ślepych naturalnych instyktów, kiedy nagle uszów naszych doleciały tęskne nuty śpiewu:

Gdyby rannem słonkiem
Wzlecieć mi skowronkiem...

Żałosna piosenka Halki towarzyszyła do grobu Moniuszce, którego tłum kilkudziesięcio tysięczny odprowadzał do ostatniego schronienia.

— Patrz rzekłem chwytając za rękę hypokondryka, oto są owoce życia które niewyczerpywało sie w marnych egotycznych kwileniach... Temu człowiekowi wolno było powiedzieć:

„Tyle życia co jest w pieśni...“

— Tak, wtrącił mój kwaśny interlekutor, ale któż ci zaręczy że ów mistrz pieśni nie miał nie jednéj chwili w któréj z goryczą wyrzekł:

„Samotność... cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?“

Wzruszyłem niecierpliwie ramionami, i jakby na odpowiedź, wskazałem mu na ruchome fale orszaku pogrzebowego... Szliśmy przez Saski plac... Widok tego ostatniego hołdu składanego ostatniemu w kraju reprezentantowi sztuki w muzyce,—był zaiste imponujący. Powaga w któréj nic nie było sztucznego, smutek bez afektacyi, uroczystość bez teatralności, porządek bez organizacyi, nadawały ponuremu pochodowi coś, przed czem każdy w skupieniu chylił głowę... Na ustach wszystkich dwa błąkały się nazwiska Moniuszko... Dobrzyński... a Chopin przesyłał tym dwóm zgasłym poetom pożegnanie z daleka, z daleka, z cienistego Père Lachaise, w przejmujących dźwiękach swego „marsza pogrzebowego” w którym wyraźniéj od innych dosłyszeć było można westchnienie tęsknoty i jakby zazdrości o tę garść własnéj ziemi któréj nikt na jego trumnę nie rzucił. Po trójcy w poezyi... straciliśmy trójcę w muzyce... Warszawa to czuła i dla tego żal jéj był piękny.

Tak mnie się przynajmniéj wydało, a to moje przekonanie było tak silne, że kiedy odprowadziwszy już zwłoki mistrza na cmentarz, wysłuchawszy serdecznéj mowy Chęcińskiego wracałem z Powązek, spytałem jakby w dalszym ciągu rozmowy mojego znajomego.

— Cóż na to powiesz?

— A no cóż odparł on z ironią — grzebać Warszawa potrafi!

* * *

Nic nieznośniejszego czytelniku nad te istoty żółciowe, które historyą rodu ludzkiego odbudowują na podstawach opacznéj jakiejś numizmatyki studyującéj z największém upodobaniem „odwrotną stronę” medalów. Z całym zapałem chciałem rozpocząć gorącą obronę Warszawy, którą kocham miłością... prawdziwie kronikarską, kiedy traf opłakany postawił nas oko w oko z jednym z tych muzyków-saltymbanków, którzy całe życie swoje przeskakawszy ostrożnie wśród cudzych pomysłów niby dzieci cygańskie pomiędzy jajkami,—mają zawsze w tece niedokończoną

operę, w głowie ledwie naszkicowany rozum, na ustach niedopowiedziane słowo plotki potwarczéj, w sercu malutką nie wyrośniętą namiętnostkę — w około siebie niekompletną reputacyą i bezpłciowy tytuł *artysty amatora*.

— Umarł tedy, zawołał ściskając nas za ręce z zastosowanym do okoliczności wyrazem twarzy ów okrągły jegomość.

— Strata niepowetowana, odrzekłem... dla całego kraju...

— Strata, strata, powtórzył amator ciszéj i zamyślając się.

A potém jakby już do siebie dodał

— Miał mi się do album wpisać!

Mój przyjaciel śledzennik w głos się roześmiał i zawołał zostawiając melomana w osłupieniu:

— Czy wiesz mój kochany, że to jest może najtragiczniejsza strona téj śmierci.

* * *

Nie wiem dla czego ale w téj chwili, nie znalazłem jakoś odpowiedzi na ten dziwaczny argument—zresztą co prawda przyszła mi na myśl scena nieco odmienna któréj byłem świadkiem niedawno — nie chciałem jéj powtarzać mojemu mizantropowi, bo byłby to dla niego wyborny temat do pocisków mało może dla ciebie czytelniku zajmujących. Pożegnałem go więc zaraz po jego wykrzykniku, a tu pozwolę sobie na ucho scenę tę w kilku słowach opowiedzieć.

Było to w dzień śmierci Moniuszki. Szedłem przez ulicę—przedemną biegł szybkim krokiem młodzieniec w mundurku gimnazyalnym; po wzroście i fizyognomii znać było że to indywiduum kończące już szkoły i pieszczące stale w duszy swojéj ideał „cywilnego ubrania“. Na skręcie w drugą ulicę spotkał go drugi starszy i cywilny młodzian, a ponieważ ja zatrzymałem się na rogu dla przeczytania afisza, dosłyszałem następujący urywek rozmowy.

— Wiesz... zagadnął cywilny... Moniuszko umarł.,.

— A!... bąknął uczeń, poprawiając różę w dziurce od guzika.

— Jakto—zawołał pierwszy ze zdziwieniem... nic więcéj nie znajdujesz do powiedzenia?

— Cóż chcesz mój drogi, żebym się obszył w futerał z krepy... Umarł... no to trudno... widzisz „starzy... muszą ustępować młodym w robocie społecznéj”...

Nadstawiłem uszy na te słowa... a dużym mojim nosem wietrzyłem woń jakąś znaną.

— A zresztą kto tam wie co nasi potomkowie powiedzą o Moniuszce... To co się nam dziś podoba może im się wydać rzeczą nielogiczną... Piękno to rzecz względna... Wszystko to mój kochany trzeba brać *pozytywnie*!...

Odszedłem po téj konkluzyi... i obejrzałem raz jeszcze... pozytywista ów nie miał lat dwudziestu. Należał do „młodych.”

* * *

Słyszę już okrzyk oburzenia „starych”.

— A któż nas uwolni od tego pozytywizmu!

Tu zmuszony jestem uczynić pewne zastrzeżenie, ryzykując nawet utratę sympatyi niejednego czytelnika. Od pozytywizmu nikt nas uwalniać ani potrzebuje ani może. Jest to sobie system ani gorszy ani lepszy od wielu innych i mający prawo obywatelstwa równe ze wszystkiemi kierunkami umysłu ludzkiego. Ale od fałszywych a nieletnich proroków pozytywizmu uwolnić nas może jedna rzecz... książka i to książka *pozytywna*.

— Jesteś więc kronikarzu wyznawcą homeopatyi spyta mnie nie jeden.

— Jestem wyznawcą prawdy, i dla tego pragnąłbym ażeby filozofię pozytywną czytali ci którzy piszą o pozytywizmie, mówią o pozytywizmie i na pozytywnych prenumeratach robią pozytywne spekulacye. Chciałbym, ażeby raz przecie takie znakomitości jak: Mill, Spencer, Taine, zarekomendowali się ogółowi publiczności w dobréj polszczyznie, w sumiennym przekładzie w krytycznem opracowaniu. I dla tego nie dam *pięciu* rubli za pięćdziesiąt tomów dzieł *pozytywizmu kieszonkowego*, ale zaopatrzę się w „Bibliotekę filozofii pozytywnéj” któréj wydawnictwo projektują dwie redakcye „Niwy” i „Opiekuna Domowego,” szczerze życząc powodzenia temu pożytecznemu przedsięwzięciu posiadającemu jak mi się zdaje wiele warunków poważnego wydawnictwa.

* * *

Ukazanie się podobnéj „Biblioteki” musi wywrzeć zbawienny wpływ na umysły. Dla jednych pozytywizm widziany z blizka, u siebie w domu, przestanie być potworem przeciwko któremu tchórzliwe usposobienia i niekrytyczne umysły dawno już obwołują krucyatę. Ci lękliwi przekonają się, że skromna metoda doświadczalna, nic wprawdzie nie twierdzi *à priori*, ale też niczemu nie zaprzecza *à priori*, uzbroiwszy się w cywilną odwagę odpowiadania *niewiem* na wszelkie znaki zapytania, których nie rozumie. Będą też tacy dla których wczytanie się w wielkich augurów pozytywizmu, połączone będzie ze smutném rozczarowaniem... Spostrzegą oni że metoda ta nie może być owém panaceum powszechném rozwiązującém wszystkie najzawikłańsze, najbardziéj tajemnicze zagadnienia ludzkości. Dowiedzą się że dopóki obserwuje, jest niezbitą, dopóki z faktów obserwowanych wyprowadza bezpośrednio prawa, potężnie naukę naprzód posuwa — ale kiedy z praw owych używając rozumowania metafizycznego, którego u innych nie lubi, i uciekając się do hypotez, których nienawidzi gdy się ich przeciwny obóz dopuszczcza,—rozpocznie budowę ogólnego ustroju świata, może błądzić jak każdy zwyczajny śmiertelnik—bo już to trudno, nawet dla pozytywistów *errare humanum est* pozostaje odwiecznym pewnikiem. Jeżeli kierujący wydawnictwem „Biblioteki” pewnik ten uznają, a w pracy swojéj nie pójdą za chwilowemi sympatyami lub antypatyami, lecz z całym chłodem obiektywnym dążyć będą przedewszystkiém do osiągnięcia téj odrobiny prawdy, którą odnaleźć można na każdéj drodze rozumowéj, w takim razie,—dobrze zasłużą się nauce, ratując ją przedewszystkiém od największéj plagi... od jéj przyjaciół, bo z nieprzyjaciołmi sama ona da sobie radę.

* * *

Książek tedy—i jeszcze raz książek!... Na ten tragiczny temat, możnaby szanowny czytelniku cały traktat napisać. Tylko że traktat to nie rzecz kroniki, która niby spokojne nie zamącone niczem wód zwierciadło, odbija w sobie roje efemeryd życia codziennego przelatujących nad jego powierzchnią. Jeżeli jednak kronikarz wierny swojemu zadaniu zajmie się tylko chwilą obecną, to i tak jeszcze na widok tego napływu wsi do Warszawy, na widok tego gorączkowego krzątania się po mieście ludzi o twarzach ogorzałych, kryjących pod pozorami zdrowia fizycznego niejednokrotnie nieuleczoną chorobę biedy, z którą nie jeden pasuję się oddawna, przyjeżdża do Warszawy po ratunek w postaci tranzakcyj handlowych wątpliwéj natury,—na ten widok powtarzam znów mi przychodzi na myśl książka. Tego już nadto, powiesz czytelniku... czy książka zaradzi co na klęski losowe na grady i zniszczenia wypadkowe o których liczne wiadomości ze wszystkich stron do nas dochodzą? Miałbyś słuszność czytelniku, gdyby krytyczne położenie ziemian naszych było jedynie tylko wypływem atmosferycznych przypadłości, —choć i tu jeszcze nauka może dać pewne zapobiegawcze wskazówki. Nie te jednak wyłącznie są przyczyny tego stanu. Od czasu zmiany u nas stosunków rolnych w skutek uwłaszczenia włościan, tak zwany „warsztat gospodarczy” zmienił się zupełnie, a obznajmienie się z nim dokładne, pilniejsze wyzyskanie sił już istniejących, lub nadanie im gdzie potrzeba innego kierunku, jest możliwe tylko przy systemacie gospodarstwa racyonalnego, takie zaś gospodarstwo jedynie na podstawach nauki prowadzić można. Nie odzywam się tu bynajmniéj do tych święto-jańskich robaczków płci obojéj, które raz w rok nawiedzają Warszawę w celu porównania swego *pożyczonego* światła, z migotaniem lampek illuminacyjnych na loteryi fantowéj—mam na myśli energicznych pracowników którzy z odwagą i nadzieją łamią się z trudnemi ale nie rozpaczliwemi warunkami. Tym rekomenduję prawdziwie obywatelskie wydawnictwo „Encyklopedyę rolniczą” wychodzącą pod redakcyą księcia Tadeusza Lubomirskiego i pp. Stawiskiego i Przystańskiego profesora i dziekana w tutejszym uniwersytecie. Mam tylko pierwszy zeszyt przed oczami, i nie myślę rozwodzić się nad nim, zostawiając ocenę, kompetentniejszemu pióru. Komunikuje wam tylko wrażenie jakie wyniosłem po przeczytaniu wstępu poprzedzającego właściwą encyklopedyę. Te kilkanaście stronnic wyszłych widocznie z pod pióra panującego nad przedmiotem, nakreślonych ręką przyzwyczajoną do przenoszenia na papier zdrowych i poważnych myśli, natchnęły mię dziwną jakąś otuchą i spokojem jakich doświadcza człowiek który jasno i trzeźwo ma sobie przedstawiony najsmutniejszy choćby bilans swego majątku. Każdy czytający ten ustęp widzi że jest źle, ale o zmianie na lepsze nie rozpacza, a jeśli zapragnie poszukać środków polepszenia, cel Encyklopedyi byłby osiągnięty.

* * *

Dzieją się u nas złe rzeczy w gospodarstwie które zastanawiają i biją w oczy nie nawykłe nawet do drukowanego tak że nieraz przypuściłbyś iż te oczy w książce wyczytały pojęcie o ekonomicznéj doniosłości, a we własném sercu o obywatelskiem znaczeniu pewnego smutnego objawu. Płyną tratwy po Warcie, po któréj spław drzewa, jak utrzymuje korrespondent Koniński do Kaliszanina doszedł w tym roku do kolosalnych rozmiarów. Wieśniak z kumą swoją stanąwszy na moście przypatrywał się płynącym tratwom i kiwał głową. Powtórzymy tu krótką ich rozmowę tak jak ją podał Kaliszanin. Kobieta zagadnęła wieśniaka w te słowa:

— Patrzcie no kumotrze, co to wéj sztachta drzewa marnuje.

— Ba toć widzę, odpowiedział kumotr.

— A kaj oni też podziewają pieniądze co biorą za bór! zapytała znów ciekawa kobiecina.

— Kto ich tam wie odparł kum; alem ja słyszał że jeżdżą do niemców i siłę pieniędzy tracą na jakąś wódę i na *siampańskie*.

— Na co? zapytała kuma nierozumjąc?

— A to odpowiedział kum, na takie wino co strzyla jak z leworwera.

Tu już kuma nic zrozumieć nie mogła, ale chciała się koniecznie dowiedzieć co to będzie jak szlachta wszystko drzewo wyprzeda.

— Będziemy wszyscy w kułak dmuchać rzekł kum a jak nam to nie pomoże to będziemy musieli od niemców drogo drzewo kupować i pod wodę holować.

Jak myślicie czytelnicy czy słyszał tę rozmowę p. hrabia Maurycy Potocki, kiedy sprzedawał berlińskiemu „Holtz-Comptoir” część lasu Jabłonny?

* * *

Zresztą cóż... *de gustibus*. Rozmaicie to arystokracya pracuje *pro publico bono*. Jeden jéj przedstawiciel staje na czele wydawnictwa prawdziwie europejskiego, drugi niemcom lasy sprzedaje, trzeci konie na wyścigi posyła—pojmujecie, niechaj „jak kto może... etc”... A tak się to jakoś dobrze wiąże że owa pierwsza robota wytłumaczy nam do czego prowadzą dwie drugie. Co do mnie wyznaję szczerze że z niecierpliwością czekam na litery *K* lub *W.* w Encyklopedyi, chciałbym się bowiem rzetelnie oświecić w kwestyi użyteczności wyścigów konnych. Wyobraźcie sobie czytelnicy że tak mam tępą głowę iż od lat wielu uczęszczając na to widowisko, nie zdołałem dociec jaki pożytek dla kraju przynosi zdolność Vendetty, prześcignięcia o pół nosa, Eklipsa. A musi w tém być coś tajemniczego, skoro rok rocznie mimo niechybnéj prawie niepogody, tysiące widzów zalega pole Mokotowskie. I w tym roku w Niedzielę obraz wielce był rozczulający... Pod potokami deszczu publiczność wytrwale przyglądała się koniom... nie zawsze wyścigowym, bo znaczna część widzów schroniwszy się przed ulewą do powozów i dorożek odwróconych tyłem do szranek podziwiała kształty rumaków zaprzężonych do wehikułów. Zbudowany byłem tą cierpliwością, alem jéj podzielać nie mógł i zdaję mi się żem w energicznym wykrzykniku dość dosadnie scharakteryzował tę szlachetną dżentelmańską zabawę.

— Ależ panie odezwał się z oburzeniem mój ogorzały sąsiad ze wsi, cóż pan chcesz, w takim cywilizowanym kraju jak Anglia..

— Jakiż jéj cel spytałem?...

— Cel panie, poprawy rasy koni; to oczywista.

— Jakich koni, zagadnąłem daléj.

— Naturalnie wyścigowych, odpowiedział szlachcic z uśmiechem pobłażania.

— Ależ do czegóż służą konie wyścigowe—zadałem ostatnie pytanie.

— A no juściż do wyścigów,—zakonkludował obywatel, to przecie rzecz prosta, dodał jeszcze litując się widocznie nad człowiekiem który tak prostéj rzeczy nie wiedział.

Zamyśliłem się nad tradycyą loiki p. de la Palisse, która widocznie nie zaginęła jeszcze u nas.

* * *

Już to konie, kochany czytelniku, prześladują mię od soboty. Powodowany ciekawością w jaki też sposób p. Salamoński, poluje na lwa w Saskim ogrodzie, poszedłem przyczynić się do podeptania trawnika na którym postawiono estradę do żywych obrazów, stanowiących jak wiadomo urozmaicenie tegorocznéj loteryi fantowéj. Na owéj obszernéj murawie która zwiędła na korzyść Towarzystwa Dobroczynności, panował fantastyczny nieład... widzowie w różnych pozycyach stojących siedzących, a nawet leżących, oczekiwali na podniesienie zasłony. Cierpliwość publiczności na ciężką wystawioną była próbę—nareszcie zafalował ten ocean głów ludzich które podniosły się ku górze.

— Lew, lew, wołała rozentuzyazmowana publiczność, ale ja niestety mimo wszelkich usiłowań, dostrzegłem tylko melancholicznie bujający się ogon konia, który tym miarowym ruchem chciał snać dowieść, że obrazy są istotnie żywe. Publiczność biła brawo,—rzecz musiała być piękna, wierzyłem w to na słowo i puściłem się w sam wir loteryjny. Rozmaitość w tym roku nie ograniczała się na owych akrobatycznych illustracyach. Illuminacya jaśniała rzęsistrza i gustowniejsza, cała fizyognomia ogrodu nierównie świetniéj, jak zwykle się przedstawiała, czarując oko jakimś namiętnym kolorytem południowéj nocy. Pominęlibyśmy drobny szczegół drogo płatnych siedzeń, gdyby nam on nie dawał sposobności do spostrzeżenia, z jakim dyplomatycznym taktem publiczność warszawska czując nawet że jest wyzyskiwaną przez filantropię, unika skandalicznéj protestacyi, ale jakby w skutek milczącéj umowy, trzyma zdala swe kieszenie od pobożnych aspiracyi miłosierdzia. Wiadomo że na miejsca numerowane na ławkach naznaczono ogromną względnie do ceny biletu wejścia opłatę 30 ko. Publiczność poradziła sobie najlepiéj, bo nie kupując miejsc prawie wcale, siadała sobie najwygodniéj. Dobroczynność na szczęście jest tylko władzą prawodawczą, a nie mając siły wykonawczéj, ze smutkiem patrzeć musiała na ruinę swoich nadziei. Fortuna jak zwykle płatała pocieszne figle, darząc różnych szczęśliwców wygranemi na ślepo, bez żadnego względu na płeć, wiek urząd, stanowisko i urodzenie. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie orkiestry Bilsego, która rok rocznie składa tę poetyczną dań ubóstwu warszawskiemu.

* * *

Maestro lignicki zaskarbił sobie na seryo i trwale serca ludności, pośród któréj krzewi zdrowy smak w muzyce. Udział jego w uroczystości pogrzebowéj zgasłego Moniuszki, i niedzielny koncert w Saskim ogrodzie, który 2,500 rubli dodał do zbierającego się funduszu dla rodziny pozostałéj, zasługują na szczere i serdeczne uznanie warszawian. Biust Moniuszki wystawiony w orkiestrze, wykonanie kilku utworów zmarłego kompozytora nadawały temu koncertowi cechę uroczystości i powagi, któréj mu odjąć nie zdołały nawet balowe stroje kobiet stanowiące pewien światowy łącznik między koncertem a loteryą fantową. Wspominamy tu na czele pana Bilsego, bo jako cudzoziemcowi należy się istotnie pierwsza wzmianka przy zapisywaniu zacnych chęci, jakich codzień daje świadectwo kraj cały spiesząc z materyalnemi dowodami ocenienia zasług Moniuszki. Warszawa jak zwykle dała inicyatywę, bo bądź co bądź Warszawa nietylko grzebać potrafi. Po panu Salomońskim, teatra ogródkowe rozpoczęły swe *napowietrzne istnienie* od widowisk na korzyść rodziny Moniuszki. Te przelotne ptaki które corok o téj porze nawiedzają Warszawę, świegocą wprawdzie nieuczenie, a i w naturalnym swoim śpiewie nie zawsze słowików przypominają,—ale w cichy letni wieczór mile się ich słucha i nie ma się pretensyi za krzyczący jakiś ton niezgodny z prawami harmonii. Słuchacze też w tych letnich mieszkaniach Talii i Melpomeny inaczéj są zupełnie nastrojeni — nie mówcie im o subtelnych wrażeniach i wyrafinowanych rozkoszach artystycznego piękna — natura choćby w mikroskopijnych rozmiarach, choćby tylko przez dwa drzewa reprezentowana, swoboda w postaci otwartéj przestrzeni usposabiających jakoś krańcowo: jeżeli do śmiechu, to już do takiego co to się fizycznie udziela przy pomocy szturchańca w bok sąsiada-wi a nawet sąsiadce; jeżeli do płaczu lub cnotliwego oburzenia, to już do takiego żeby się nawet na kułaki poszło za gnębioną niewinność. Cóż dziwnego że w Eldorado np. widz staje się *pierwotnym* człowiekiem! Tivoli między temi plebejuszami sztuki zachowuje się arystokratycznie. Repertuar w niém wyszukańszy, nowszy, a nawet tak nowy że już naszéj reżyseryi nie jednego na lica napędził rumieńca. W ciągu trzech tygodni pan Trapszo zapoznał już publiczność warszawską z trzema poważnemi utworami niegranemi jeszcze na naszéj scenie: dawano mianowicie „Miłość ubogiego młodzieńca” Feuilleta, „Fałszywych poczciwców” Bariéra i „Cel upragniony” Sardou. Cóż że w grze znajdziecie tam wiele usterków — pytanie jeszcze co lepiéj, czy patrzeć na niedokładnie grane takie właśnie sztuki, czy podziwiać wzorowe wykonanie „Dwóch Złodziei.”?

* * *

Kwestyę tę rozwiązał jednak Teatr Wielki na korzyść Roberta i Bertranda, którzy między innemi skradzionemi rzeczami obdarli jeszcze publiczność z resztek illuzyi co do taktu i poważnego zapatrywania się na sztukę reżyseryi. Arcydzieło to przyswojone nam przez pana Anczyca, miało rozpocząć przedstawienia w teatrze letnim. Ale co do Teatru letniego chciano snać zachować tradycyę — inaugurował go dwa lata temu Offenbach i teraz do ostatecznie wykończonego i wyświeżonego, wprowadził publiczność również autor „Pięknéj Heleny.” Ha, cóż w tém dziwnego—powrócił Offenbach do odnowionéj Francyi, —dla czego nie miał powrócić do odnowionego Teatru letniego w Saskim ogrodzie. Pan Rittendorf, budowniczy Teatrów Warszawskich okazał wiele smaku przyoblekając w świąteczne szaty ten nowy muz przybytek. Wnętrze Teatru letniego przedstawia się bardzo dla oka przyjemnie, wytworna prostota w ozdobach oszczędny użytek złocenia, perłowo-biała barwa wszystkich malowań ornamentacyjnych, gustownie odbijają od pąsowéj linii poduszek wyścielających parapety obu piętr Teatru. Parapety te znacznie są zniżone, tak że siedzący w lożach widzialni są prawie do połowy figury. Szczegół ten okaże się może kłopotliwy dla dam które dotąd w popiersiach tylko prezentowały się lorynetkom, na przybranie téj części postaci główną zwracając uwagę. Ale zyskuje na tém ogólna fizyognomia Teatru, żywa barwna i nader zajmująca, mianowicie przy blasku ozdobnego pająka i lamp pozawieszanych pod posadzką piąter w niewielkich odstępach na całéj linii krzywej widowni. Dla wygody zrobiono wiele. Pomijam wentylacyę która przy systemacie żaluzyowym przyjętym od początku utrzymuje w sali zupełnie znośną temperaturę,—ale wspomnieć muszę o wygodnych dębowych krzesłach z podnoszonemi siedzeniami, na których publiczność znajduje nierównie lepsze pomieszczenie aniżeli w obu zimowych Teatrach wystawiających pod tym względem swoich widzów na istne tortury. Nareszcie asfalt we wszystkich korytarzach i przejściach usuwa jedną ważną niedogodność—odgłos kroków osób spóźniających się, których jak ci wiadomo czytelniku, jest u nas zawsze spora gromadka na każdém widowisku. Na zewnątrz Teatr letni równie dobrze wygląda; pomalowany olejno od dołu do góry wyraźniéj się prezentuje ze swemi liniami architektonicznemi. Krzywdę mu wielką wyrządziła przystawka dachem nakryta, postawiona w celu ochronienia

wschodów, złe to jednak konieczne ze względu na warunki naszego klimatu, który wymagał takiego zabezpieczenia części budynku bezpośrednio na zmienne wpływy atmosferyczne wystawionéj. Teatr tego wieczoru (podczas loteryi fantowéj) był prawie pełny. Kiedym rzucił okiem na to liczne zgromadzenie przysłuchujące się Lukrecyi Borgii, kiedym potem w antrakcie spojrzał na strojne tłumy snujące się po alejach uiluminowanego ogrodu, a następnie zlustrował nazajutrz słuchaczów koncertu Bilsego, widzów na wyścigach, a *nawet* publikę od niechcenia przypatrującą się Wiankom, dostrzegłem takie jakieś rozbawienie, rozbujanie Warszawy, które nie zawsze nawet w zimie, urzędowéj porze zabaw, cechuje nasze miasto. Mówiąc o wiankach podkreśliliśmy wyraz *nawet*, bo pogańska ta uroczystość, traci coraz więcéj swój charakter podaniowy. Wianki stają się u nas rodzajem pańszczyzny podobnéj do przejażdżki w Zielone Świątki na Bielany. Każdy idąc zaprzysięga się że to poraz ostatni, wracając rozwodzi się nad nudami jakich użył do syta, a na następny rok ciągniony resztką jakiegoś nałogu dąży tam z całą świadomością, iż się znowu tak samo jak w roku zeszłym nudzić będzie. Ktoś z moich znajomych trafnie scharakteryzował ten upadek święto-jańskiéj uroczystości.

— Wianki, rzekł do mnie kierując swe kroki ku nowemu Zjazdowi, dopóty się udawały dopóki most skrzypiał.

Uwaga to istotnie filozoficzna i dowodzi nie tylko znajomości serca ludzkiego, ale i wtajemniczenia się w ducha poezyi sielskiéj.

Skrzyp mostu... czyż można wyborniejszy znaleźć akompaniament do téj idylli która jak paproć święto-jańska kwitnie w sercu dziewczęcia przy puszczaniu wianków na wodę!.. Skrzyp mostu!... to tak podobne do skrzypnięcia żurawia którym Wiochna wody dobywała! Skrzyp mostu to jeden z „Odgłosów wsi"—to strofa legendy.

Mówże tu o legendzie na moście amerykańskim przez który przechodzą relsy kolei żelaznéj.

* * *

Warszawa tedy bawi się czytelniku — bez względu na ulewę, grzmoty i błyskawicę. Trudno mieć do niéj o to pretensyę, témbardziéj że nie wstrzymał ją deszcz rzęsisty od zainteressowania się rzeczą poważną to jest od zgromadzenia się na pierwsze posiedzenie Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych odbyte w wielkiéj sali ratuszowéj w dniu 17 Czerwca. Nie zwiększajmy jednak zasługi — kiedy mówimy Warszawa,— używamy tylko pewnéj figury retorycznéj, zgromadzenie bowiem było nie liczne i nie wyniosło nawet cyfry członków należących do Towarzystwa osad—a cyfra ta nie dochodzi 600 osób! Dowiedzieliśmy się o tém ze sprawozdania odczytanego przez pana Papłońskiego, po zagajeniu sesyi przez Prezesa Towarzystwa rzeczywistego radcę stanu Wieczorkowskiego, i po obznajmieniu publiczności z historyą podobnego rodzaju instytucyj skreśloną przez p. Aleksandra Moldenhawera. Ubożuchne to sprawozdanie świadczy że zacna myśl bardzo powoli w czyn przechodzi, jedynie z braku materyalnego poparcia publiczności która ogranicza się widocznie na platoniczném współczuciu. Dość powiedzieć że dotychczas ogólny kapitał stowarzyszenia wynosi 5213 rubli,—t. j. kwotę z którą prawie nic zaczynać nie można! Gdy przytem zestawimy cyfrę interesujących się osadami rolnemi z cyfrą dwa razy wyższą członków Towarzystwa muzycznego, przychodzi nam na myśl pytanie: czy istotnie los małoletnich przestępców mniéj jest zajmującym jak dobrze opłacony występ gościnny panów Bulowa i Jaella?

„Przestańcie dzieci bo się źle bawicie"...

* * *

Kończę cierpliwy czytelniku wiadomością że wkrótce doleci nas „Odgłos z Polesia." Taki jest tytuł książki zbiorowéj przygotowywanéj w Odessie przez p. Ejsmonta, który już podzielił się znami tém „Co Bóg dał", wydawnictwem podobnego rodzaju. Notatkę bibliograficzną o téj ostatniéj książce zamieszcza „Wieniec" poniżéj „Odgłos z Polesia" (2 tomy ozdobione rycinami) opuści prasę w Sierpniu, i będzie również przedmiotem oceny w naszém piśmie.

BIBLIOGRAFIA.

Co Bóg dał. Wydał F. M. Ejsmont. Ozdobione rycinami A. A. Ejsmonta. Kijów, 1872.

Po „Owocach i Kwiatach" pismo zbiorowe „Co Bóg dał" sprawia sympatyczne lecz smutne wrażenie. Duch panujący w książce dowodzi najzacniejszych chęci, lecz świadczy zarazem o chorobliwym nastroju współpracowników. Artykuły „Rodzina", „O materyalizmie w nauce i w życiu" i „Miłosierdzie—strona czynna potęgi miłości" są niczém inném jak zwyczajnemi kazaniami. Nawet do artykułu „Przedmiot znaczenie i cel geografii" wkradło się sporo mistycyzmu. Cztery artykuły rzeczone z działu prozy zaleca przynajmniej względna czystość języka, czego niepodobna powiedzieć o innych utworach, rażących grubemi prowincyonalizmami. W powieści „Nierząd i praca", któréj autor dał wiele obiecującą nazwę „studyum literackiego", spotykamy się niespodzianie z magnatką, przemawiającą szynkownianym językiem, i tym podobnemi dziwolągami. Zacytowany w powieści monolog przeraził nas, jak przeraziłaby wieść o zalaniu drogiéj sercu naszemu siedziby potopem błota wulkanicznego. „Obrazek genialnego oficyalisty" unieśmiertelnia lichego pisarza prowentowego, którego widzieliśmy już przed laty w promiennéj aureoli „Gwiazdy kijowskiéj". Tutaj występuje ta postać na tle majestatu pryncypała swojego, znanego p. Jaksy... Za wiele zaszczytu dla p. Chrząkalskiego, za mało dla szanownego patrona... Zresztą „Obrazek" nie jest bez humorystycznego zacięcia, i jako portret z natury, mógłby zaszczytne zająć miejsce—w tece autora. Z poezyj najudatniejsze są przekłady *Ratbera* (z Legendy Wieków) i *Bojara Orszy* Lermontowa. Znajdujemy tu jeszcze misteryum „Mysza Wieża", które autor nazywa zabytkiem historycznym, określając nawet czas, w którym miał je napisać w widokach politycznych jakiś ks. jezuita (po śmierci Augusta III). Otwarcie mówiąc, misteryum to wydaje się nam mistyfikacyą wykonaną w sto lat po elekcyi Stanisława Augusta. Występująca tu żona Popiela za nadto przypomina Balladynę; każdy zaś przyzna, że pod względem pomysłów artystycznych i formy Juliusz nie mógł mieć poprzedników pomiędzy braćmi Towarzystwa Jezusowego. Nie rozumiemy celu mistyfikacyj tego rodzaju. Mogą się przecię znaleźć poczciwcy, którzy na słowo uwierzą autorowi, jak znaleźli się ubodzy duchem, co uwielbiali legendę pewną któréj bohater *ucałowuje własną zrąbaną głowę*.

Żałujemy, że w książce kijowskiéj nie znaleźliśmy żadnéj monografii autora „Bracławszczyzny". Wzorowe to pióro za długo nie daje nam znaku o sobie. Kończąc, podziękujmy za to, co Bóg dał, serdeczném: Bóg zapłać.

ROZMAITOŚCI.

— Jako przykład niezwykłéj pamięci i siły ręki, professor muzyki w Wiedniu Hans Schmidt wskazuje znanego kompozytora i wykonawcę Antoniego Rubinsteina. Ten ostatni na koncercie w Wiedniu wykonał z pamięci w ciągu jednego wieczoru 62,990 nut. Ponieważ zaś każde poruszenie klawisza fortepianu użytego do koncertu, wymaga dla wydania tonu ciśnienia wyrównywającego $4\frac{4}{5}$ łóta, przeto całkowita summa wywartego ciśnienia w czasie wieczoru równała się ciśnieniu $94\frac{1}{2}$ centnarów.

Dyrekcya Rządowa Teatrów Warszawskich ogłosiła co następuje:

Na mocy decyzyi JW. Namiestnika w Królestwie, otworzoną zostaje przy Dyrekcyi rządowéj teatrów warszawskich publiczna w Królestwie polskiém subskrypcya, na korzyść rodziny pozostałéj po zmarłym w dniu 4 czerwca (23 maja) r. b. kompozytorze i dyrektorze opery *Stanisławie Moniuszce*. Osoby pragnące przyjąć udział w téj subskrypcyi, raczą nadsyłać swoje ofiary do Dyrekcyi teatrów warszawskich, z wyrażeniem przytem swoich adresów, celem uzyskania stósownych pokwitowań. — Warszawa d. 5 (17) czerwca 1872. — Prezes dyrekcyi, szambelan dworu Jego Cesarskiéj Mości, rzeczywisty radzca stanu *Muchanow*. — Sekretarz Dyrekcyi *Goślicki*.

Redakcya „Wieńca" zawiadamia czytelników swego pisma, że pragnie pośredniczyć w składaniu ofiar na rzecz rodziny po ś. p. Moniuszce, i od dnia dzisiejszego podejmuje się przyjmować takowe ofiary, które w „Wieńcu" ogłaszane będą, a następnie za kwitami przesłane zostaną do Dyrekcyi Teatrów. Redakcya składa od siebie rsr. 25.

Treść: Stanisław Moniuszko, Fuzy.—Na Marne, szkic powieściowy Henryka Sienkiewicza (c. d.)—Korespondencya Lwowska.—Ze świata Naukowego i Społecznego. Postęp wyobrażeń religijnych w starożytności (c. d.) — Przyrządy do ogrzewania gazem. — Ratusz w Poznaniu. — Kronika. — Bibliografia. — Rozmaitości. — Ogłoszenie Dyrekcyi teatrów warszawskich. — **Ryciny:** Stanisław Moniuszko. — Ratusz w Poznaniu. — Piecyk do gotowania potraw. — Przyrząd gazowy do pieczenia mięsa.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 15 (27) Іюня 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.



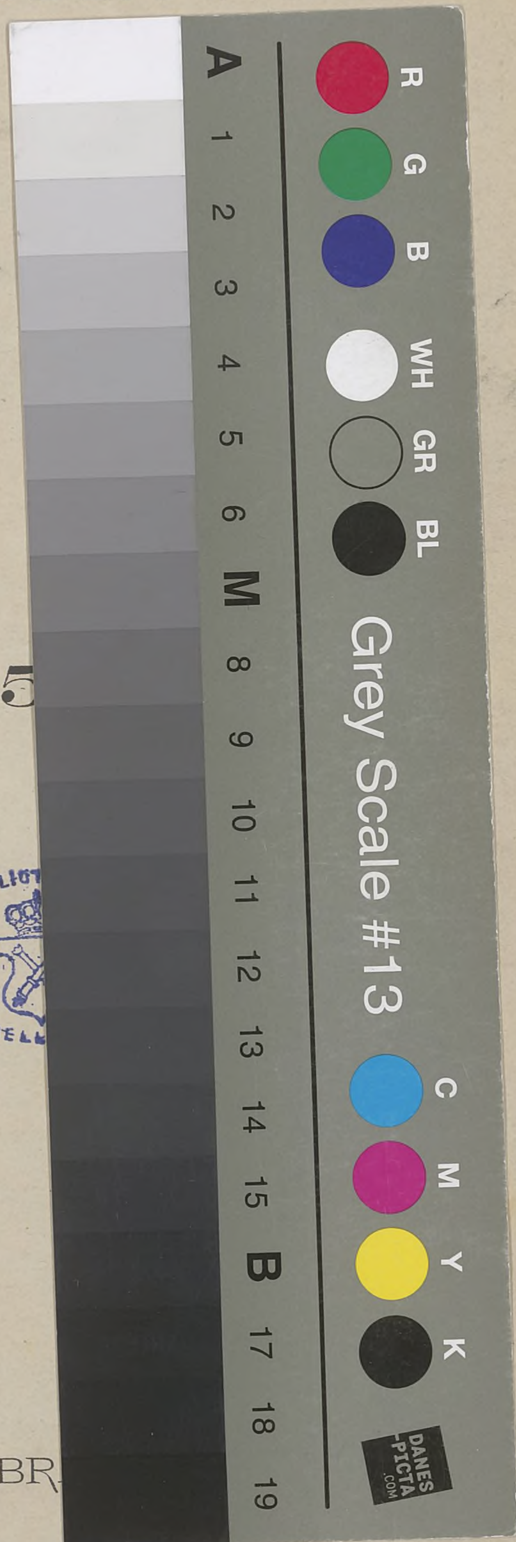
WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE.



TOM I.

Od Nr. 1 do Nr. 5



WARSZAWA.

Ć, NAKŁAD I DRUK S. ORGELBR

1872.

panuje nad namiętnością i wyzyskuje ją, były jego nieograniczoną dziedziną.

Głos Dawisona nie był zbyt obszernéj skali, nie był pełnym, nakazującym, ale ostrym, jasnym, donośnym, giętkim, i jak doskonały wirtuoz na instrumencie, tak on umiał nim władać po mistrzowsku; każdy odcień miał swój ton właściwy, zarówno zrozumiały w najcichszym szepcie, jak w pełnym wybuchu najsilniejszéj namiętności.

Gorączkowa
lat tyle oddawa
musiała szkodli
wowy, nawet r
nizmu.

Zliczyć wszy
wie, ale wspom

Z dzieł: *Sz*
Othello, Mack
Schylock, Anto

Moliera: Ską

Lessynga: M
i Derwisza w N

Szyllera: Fie
steina, Buttlera,
Carlosie.

Göthego: Ksi
w Clavigo; Mefi

Laubego: Mor
Same, Roccoco,

Perrina, w
w Adryanie Le
braczy i t. d.

Już w roku 1
wą, aby z polsk
szerzyła się wieś
naówczas mógł
1868-9 już zapr

Najświetniejsz
Wiednia, Pragi,
weru, Drezna, r
z razu, że stracił
ko własne role,
i grywał bez sufl
500 ról nauczył s

Nie, to nie był
go twarzy nie w
błyszczało jak ni
dwie mówić zacz
ne. Donośnym
pierwsze wyrazy
stawała się coraz
glądał smutnie n
chwilę od jego b
z trudem to, co r
domyślając się smutnego wrażenia, jakie sprawiał na obecnych, powtarzał ciągle, że wkrótce wróci na scenę. Myśl rozpoczęcia na nowo artystycznéj pracy, tak ożywczo działała na niego, że otaczający usiłowali podtrzymywać ją jak najtroskliwiéj. Od czasu do czasu przygotowywano kostiumy, odświeżano je, podawano mu gazety, zapowiadające blizkie jego ukazanie się na scenie, a w dniu 1 lutego o godzinie 9-éj i pół wieczorem, po długich cierpieniach, zakończył życie, zostawiając w rozpaczy małżonkę i syna, i pogrążoną w smutku scenę, która teraz dopiero czuje wielkość poniesionéj straty!

PRZEGLĄD LITERACKI.

(*Ciąg dalszy. Ob. Nr. 11.*)

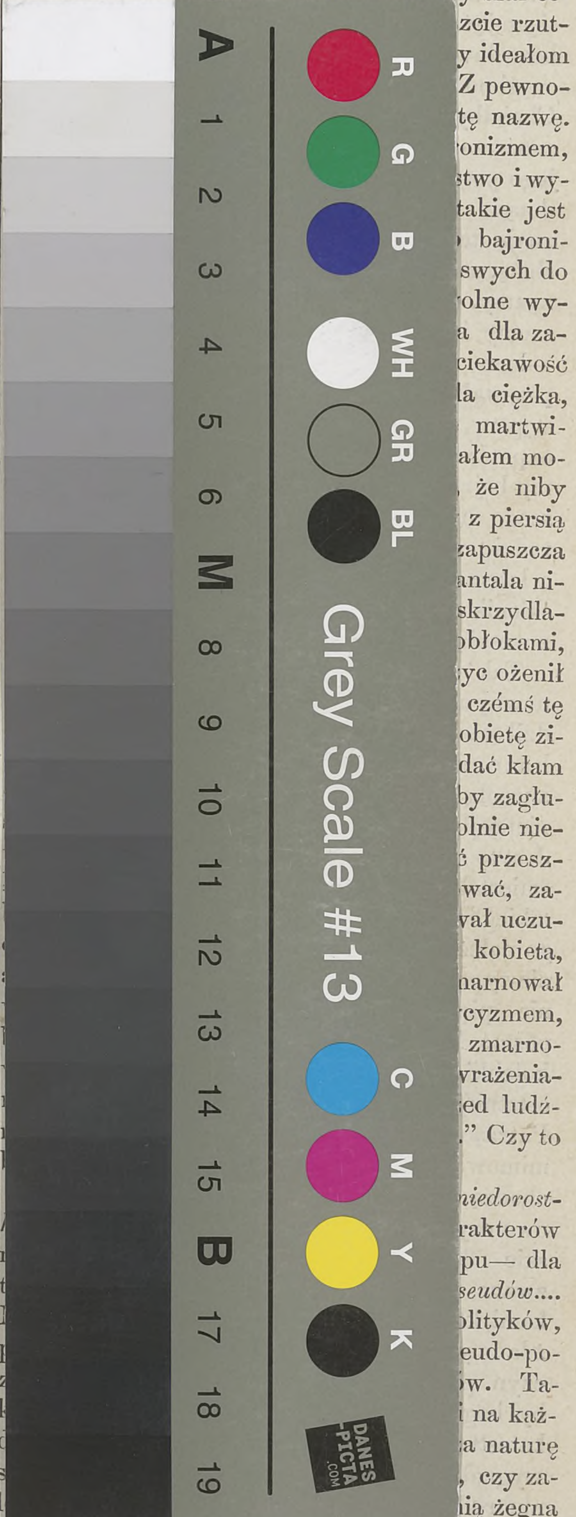
Bożek Milion powieść przez Waleryę Marrené (Morzkowską). Warszawa, 1872. —Nemezys przez tęż autorkę. Niecnota, powieść p. Zbigniewa, 1871., Wychowanica, powieść ze stosunków galicyjskich z 1848 r., przez Alberta Gorowskiego. Kraków 1871.—Nieszczęsny Legat przez J. K. Tur-
kiego. Poznań. 1871 —Opowieści stepowe p. Pau-
na Stachurskiego, Lwów. — Kraków przed czter-
ziestu laty p. Walerego Wielogłowskiego. (Wy-
anie pośmiertne), Kraków 1871.

jaskiń wiejących mrokiem i chłodem wyjdź-
a światło dzienne, ażeby spojrzeć na twarze
me sercom i oczom naszym. Znajdziemy je
wieści Zbigniewa p. t. *Niecnota*. Utwór ten
pomina dom zaludniony, a nawet przeludnio-
zmaitemi, nader żywemi osóbkami. Niewia-
jak się tu one zeszły, nie bardzo wiele
tu do roboty; lecz wszystkie są charaktery-
ne, ruchliwe, uwijają się ustawicznie i przy-
y dla oka sprawiają widok. Czasami jednak
się czytelnikowi, że pierwsze jego wrażenie
złudzeniem, i że to nie dom lecz jasełka olbrzy-
Herodem i Lucyperem, z Judaszem i Ho-
esem, z królową Gieniewrą i arlekinem.—
eczność ta wrażeń wypływa z zalet i wad
oty... Pierwszych wprawdzie nierównie
j— i całość zaszczytnie świadczy o talencie
a.

eść *Niecnoty* jest bardzo zwyczajna, co bynaj-
nie czyni ujmy autorowi. Bogaty i piękny pa-
Gesztorp) kocha się szalenie w wykształconéj
mównie, Natalii. Matka bohatera, dumna
omorzyna, znając „wichrowatą” naturę syna,
a się pozornie na ich małżeństwo, wymaga-
lko trzech miesięcy rozłąki dla wypróbo-
uczuć obojga. Po wyjeździe syna do War-
, nabożna magnatka rani najboleśniéj serce
złéj synowéj, obraża jéj godność i zmusza
ieczki z domu do jakiéjś krewnéj, mieszka-
w Kobryniu. Panicz wraca do domu, znaj-
sławę swéj ukochanéj spotwarzoną, i niedo-
jąc się nawet o miejsce jéj pobytu, wyru-
daleką podróż, bajronizuje, poluje na lwy
ocyi, zwiedza Jeruzalem; nareszcie wraca do
i z namowy stryja żeni się na zimno z ła-
ą milionową lalką. Po ślubie p. Witold
e Biblię i *Tomasza a Kempis*, a żoneczka
asem nudzi się, następnie wesoło się bawi,
ońcu depcze wiarę małżeńską. W chwili
przedzonemu o zdradzie mężowi zagraża
czci, a może i życia, Natalia poświęceniem
zprzykładném zasłania winę żony, a gdy
wykrywa się jéj ofiara, następuje rozwód
ie szczęśliwsze małżeństwo.

szczenie to jednak nie wiele mówi. Urok
ty polega na mnóztwie odrębnych postaci i scen, które jak rzeźba na średniowiecznych stallach, otaczają główne osoby. W tym względzie autor jest niewyczerpany, może dla tego, że zakopalnię różnorodnych wzorów służyła mu natura, że jak sam mówi, stara się dawać czytelnikom fotografie, nie zaś bohomazy fantastyczne.

Jeden wielki, zasadniczy, widzimy w *Niecnocie* błąd: mianowicie autor nie zna bohatera swojego i traktuje go zanadto *na seryo*, w nieodpowiednim tonie. Szukając wzorów gdzieindziéj, sądzilibyśmy, że typ Witolda najbliżéj jest spokrewniony z Thackeray'owskim Pendenisem, i autor powinien był mówić tak samo o swoim bohaterze jak Thackeray mówi o Pendenisie — z humorystyczném, życzliwém lekceważeniem, rzewnie i satyrycznie zarazem. Tymczasem Witold postawiony jest na szczudła Child-Harolda... Autor nazywa go bajronistą. Czém jest bajronizm?... Spójrzmy na pierwowzór jego, na samego lorda-poetę. Widzimy tam olbrzymie serce w szamotaniu się z przesądami świata, rozpaczne uczucie niemocy własnéj w obec milionowych tłumów, gorącą miłość ludzkości i kraju z pogardą obecnego ich stanu, chwilowy szał ce-



zcie rzut-
y ideałom
Z pewno-
tę nazwę.
onizmem,
stwo i wy-
takie jest
bajroni-
swych do
olne wy-
a dla za-
ciekawość
la ciężka,
martwi-
ałem mo-
, że niby
z piersią
zapuszcza
antala ni-
skrzydla-
obłokami,
yc ożenił
czémś tę
obietę zi-
dać kłam
by zagłu-
olnie nie-
ć przesz-
wać, za-
wał uczu-
kobieta,
marnował
cyzmem,
zmarno-
wrażenia-
ed ludź-
." Czy to

niedorost-
rakterów
pu— dla
seudów....
olityków,
eudo-po-
w. Ta-
i na każ-
a naturę
, czy za-
nią żegna
wierszami swą ukochaną, czy żeni się z bogatą i pustą Sylwiną, czy wałęsa się za nią bez potrzeby po jarmarkach i wodach,— zawsze jest to znudzony i próżny, umiejący stać w estetycznéj pozie na piedestale, chociaż zkądinąd poczciwy człowiek, ale bynajmniéj nie bohater, na jakiego wykierował go autor. Wypadało pilniéj rozpatrzyć się w istocie tego charakteru, bez względu na rodzicielską miłość, a uniknęłoby się wielu niestosowności. W obec istotnéj wartości jego, śmiesznemi wydają się opisy wszechmogącéj władzy Witolda nad kobietami: „Miał oczy duże, magnetyczne, w które niebezpiecznie było kobiecie długo patrzeć, bo owładał niemi każdą bezwarunkowo. Znał też siłę tych swoich oczu, i więcéj niż słów używał ich pomocy. Mógłby iść o zakład, że każda w nim się pokocha..." albo następujący portret: „Był on obłokiem pędzonym wichrami po lazurze nieba, był zarazem